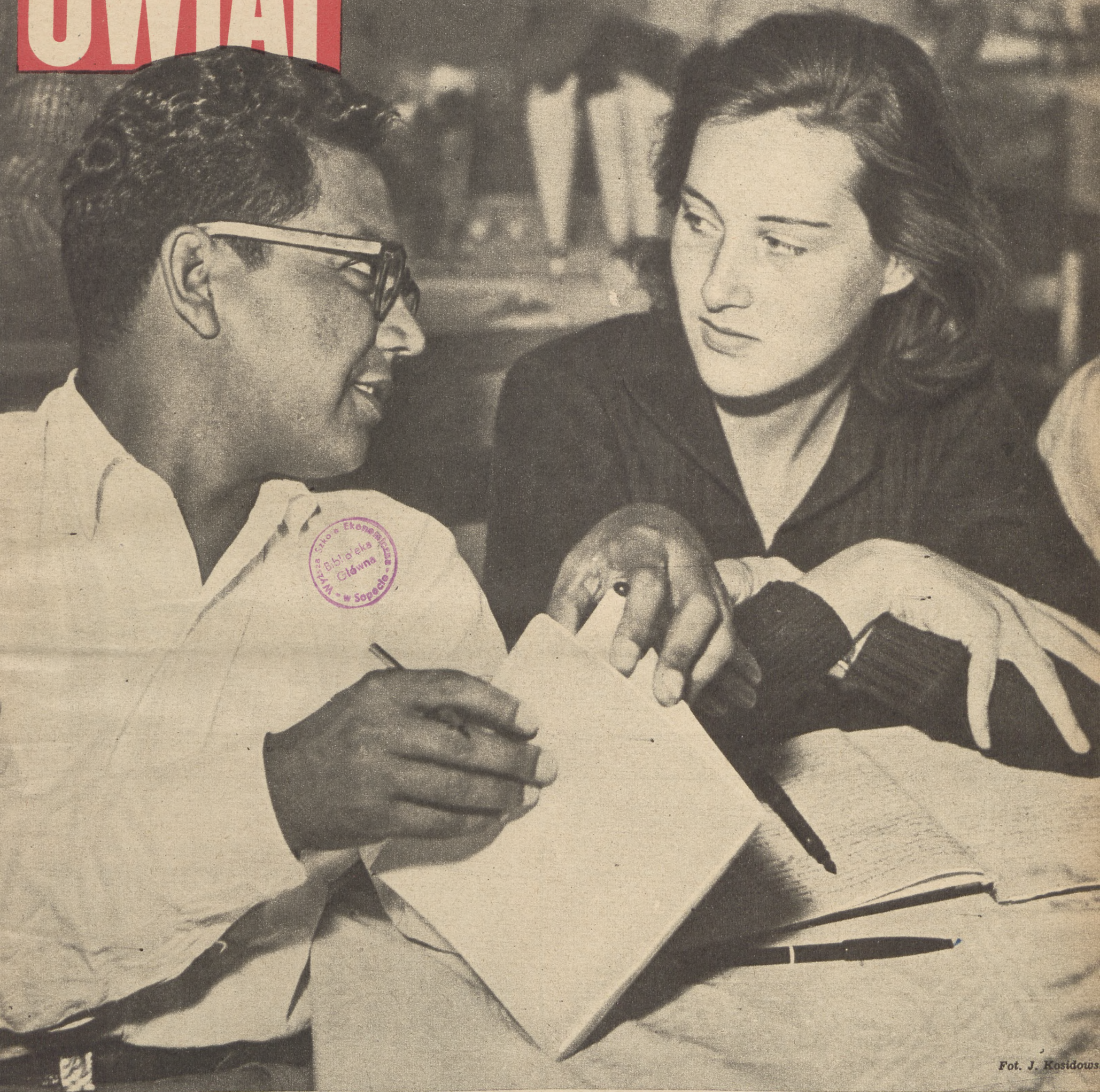


ŚWIAT



Fot. J. Kosidowski



SERDECZNIE WITAMY PRZYJACIÓŁ Z CAŁEGO ŚWIATA W STOLICY POLSKI — W WARSZAWIE!

A WARM WELCOME TO OUR FRIENDS FROM ALL PARTS OF THE WORLD TO THE CAPITAL OF POLAND, WARSAW!

ГОРЯЧИЙ ПРИВЕТ ДРУЗЬЯМ ИЗ ВСЕГО МИРА В СТОЛИЦЕ ПОЛЬШИ — ВАРШАВЕ!

SOYEZ LES BIENVENUS, AMIS DE TOUTES LES PARTIES DU MONDE, A VARSOVIE, CAPITALE DE LA POLOGNE!

来到人民波兰的首都—热烈欢迎我们从世界各地 华沙—的朋友们

BIENVENIDOS A LA CAPITAL DE POLONIA, VARSOVIA, AMIGOS DE TODAS LAS PARTES DEL MUNDO!

NASZA KRONIKA

KONIEC sierpnia i początek września przeżywamy niezmienne pod znakiem początku roku szkolnego: nasze dzieci idą do szkoły, nasze dorosłe dzieci rozpoczynają studia na wyższych uczelniach. Międzynarodowy Kongres Studentów, odbywający się w tym czasie w Warszawie, stanowi wyraz światowej solidarności młodzieży, stanowi niejako przedłużenie zlotu bukareszteńskiego w węższym, ale także ważnym zakresie.

Bo to dla narodów niezwykle ważna sprawa, jak rozwijają się studia na wyższych uczelniach, czego i jak w nich się uczy, jakie są warunki rozwoju tych studiów, a tym samym rozwoju samej nauki. Właśnie niedawno amerykańskie pismo „Coronet” doniosło, iż w pewnym prowincjonalnym uniwersytecie w Stanach Zjednoczonych suma wynagrodzenia wszystkich naukowych wykładowców jest niewiele wyższa od wynagrodzenia jednego trenera piłkarskiego w tejże uczelni. Jak najdalej jesteśmy od lekceważenia sprawy sportu, doskonalenia się fizycznego ludzi. Obrady Kongresu Studentów toczą się w pięknej sali Akademii Wychowania Fizycznego. Ale podstawę naszego rozumowania stanowi zasada, że nie ma żadnej sprzeczności między sprawą wychowania umysłowego i wychowania fizycznego. Ze przeciwnie — oba te kierunki świetnie się uzupełniają, że harmonijnie ze sobą związane stwarzają pięknego, silnego, mądrego człowieka.

U nich inaczej. Właśnie niedawno w mieście aniołów czyli w kalifornijskim Los Angeles odbył się plebiscyt na temat: co w mieście ma się zbudować — nowy teatr czy nowy basen pływacki. Stolica pięknej, bogatej, słonecznej Kalifornii nie może sobie pozwolić na jedno i na drugie. Zwyciężyła sprawa basenu. Wcale się tym nie cieszymy, że w Stanach Zjednoczonych tak często, zbyt często, sprawy kultury, teatru, książki, sztuki są odsuwane na dalszy plan. Ta sytuacja powodować może coraz głębszy rozdział między Amerykanami a resztą świata. Coraz trudniej będzie Amerykanom znajdować wspólny język z resztą świata. Będzie to niewątpliwie dla wielu z nich przyczyną wielu gorzkich rozczarowań, dużych osobistych zawodów, przyczyną powstania kompleksu odosobnienia.

Dzisiejsi władcy Ameryki uprawiają specjalną politykę ogłupiania własnego narodu, wmawiania mu, że on nikogo na świecie nie potrzebuje, a wszyscy powinni zabiegać o jego względy. W ten sposób rośnie między narodem amerykańskim i resztą świata wielka przepaść niezrozumienia i ignorancji, którą ten naród będzie musiał w pewnym okresie szybko zasypywać. Konstrukcja świata polega między innymi na tym, że narody wzajemnie siebie potrzebują. Nie jako władców, panów i wyzyskiwaczy, ale jako przyjaciół. Walka w łonie narodów polega na tym, by górę wzięły te kla-

sy społeczne, które pragną przyjaźni między narodami.

ZRESZTĄ i na niektórych władców Stanów Zjednoczonych przychodzi chwila oświecenia. Taką chwilą był radziecki komunikat o próbie dokonanej z bombą wodorową, komunikat potwierdzony potem przez odpowiednie czynniki amerykańskie i angielskie. Amerykańska komisja energii atomowej stwierdziła, iż eksplozja bomby wodorowej w Związku Radzieckim została zanotowana przy pomocy specjalnych aparatów, reagujących na stopień radioaktywności atmosfery.

Podobnie czule na ten wybuch zareagowało wielu polityków amerykańskich. Na przykład senator Wiley. Dotychczas zacny senator również interesował się bronią atomową. Nawoływał mianowicie ustawicznie do użycia tej broni przez Stany Zjednoczone przeciwko Korei i Chinom. W ostatnich dniach natomiast senator Wiley oświadczył, iż jego zdaniem „rządy USA i Rosji powinny podjąć na najwyższym szczeblu akcję, zmierzającą do osiągnięcia porozumienia w sprawie kontroli energii atomowej”. Senator Wiley dodał: „Porozumienie w tej sprawie jest konieczne, w przeciwnym bowiem wypadku światu grozi katastrofa”.

Nie potrzebuję chyba wyjaśniać, że natychmiastowa zmiana w stanowisku senatora Wiley’a nastąpiła nie przed przemówieniem Malenkowa i nie przed wybuchem radzieckiej bomby wodorowej. Są tacy na świecie, którym w ten tylko sposób przemawiać można do rozsądku.

TE PRAWDY można zresztą wyczytać na sejsmografach problemów społecznych. Ziemia trzęsie się nie tylko dosłownie od wybuchów. Ziemia żyje wielkimi walkami i poruszeniami narodów. Strajk francuski, wybory w Niemczech zachodnich, pokojowe osiągnięcia narodów od Phenianu do Berlina, marsz wyzwolonych narodów w siedmiomilowych butach do wspaniałej przyszłości — to również wielkie sprawy dnia, choć ich żaden sejsmograf nie notuje. Oczywiście może się zdarzyć — jak w Iranie — że władzę zdobędzie klika wojskowa na komendę amerykańskiego ambasadora, albo jak we Francji — że zdradzą, jak zawsze, przywódcy rozłamowych związków zawodowych. Może to tu i ówdzie zahamować na chwilę marsz naprzód, ale w rezultacie nie to rozstrzyga o kierunku rozwoju.

Żeby powrócić do myśli początkowej: i naród amerykański potrafi na pewno kiedyś nadrobić swoje dzisiejsze zacofanie kulturalne. Wierzmy w duszę tego narodu, którą na pewno nie jest ani Dulles, ani McCarthy. Najwyżej jego złymi duchami. Wierzmy w dobre amerykańskie duchy — Tom Paina, Lincolna, w Whitmana i w Marka Twaina.

JAN SZELAĞ

NOWE DOMY AKADEMICKIE



Jeszcze w bieżącym roku studenci warszawskich uczelni otrzymają dwa nowe domy akademickie przy ul. Elekcyjnej. Kubatura każdego z tych domów wynosi 30 tys. m. sześć. Ogółem 1000 studentów zamieszka w nowych wygodnych pomieszczeniach.

PO SPRZĘCIE ZBÓŻ



W wielu miejscowościach równolegle ze sprzętem zbóż rozpoczęto podorywanie ściernisk. Dobiega już końca podorywka w jednej z największych spółdzielni produkcyjnych woj. wrocławskiego — Jordanów, posiadającej 1200 hektarów ziemi.

INDYWIDUALNI GOSPODARZE WYKONUJĄ DOSTAWY



W gminie Janów (pow. częstochowski) jako pierwsi odstawili zboże do magazynów G. S. ZSCh indywidualni gospodarze z gromady Piasek. Chłopi z tej gromady przybyli do punktu skupu w Janowie na wozach udekorowanych transparentami.

W dniach od 20 do 23 sierpnia bawiła w Moskwie, na zaproszenie Rządu Radzieckiego, delegacja rządowa Niemieckiej Republiki Demokratycznej. W skład delegacji, na której czele stał premier Grotewohl, wchodził m. in.: wicepremier Ulbricht, wicepremier i min. budownictwa Bolz, wicepremier i min. finansów Loch, przewod. Frontu Narodowego Niemiec Demokratycznych Correns.

Na lotnisku przybyłych powitali: pierwszy zastępca przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR i min. spraw zagranicznych ZSRR W. M. Molotow, zastępca przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR i min. handlu wewnętrznego i zagranicznego ZSRR A. I. Mikojań oraz przedstawiciele dyplomatyczni państw zaprzyjaźnionych.

W czasie wizyty delegacji rządowej NRD w stolicy Związku Radzieckiego rozpatrzone zostały zagadnienia dotyczące rozwoju stosunków między NRD i ZSRR oraz sprawy dotyczące przyszłości całego narodu niemieckiego.

DELEGACJA RZĄDU NRD W MOSKWIE



STRASZLIWE TRZĘSIENIE ZIEMI W GRECJI



W ostatnich dniach Grecja nawiedzona została strasznym trzęsieniem ziemi, które zniszczyło dziesiątki tysięcy domów, setki dróg, mostów i wiaduktów kolejowych. W stolicy wyspy Kefalonia, nieście Argostoli, zniszczone zostały wszystkie domy. Z górą tysiąc osób zostało zabitych.



Sześć dni bez przerwy trwały wstrząsy tektoniczne, które zniszczyły piękną stolicę Kefalonii. 10 tysięcy mieszkańców pozbawionych dachu nad głową szukało ratunku na małych staczkach i łodziach, którymi przedostawali się na stały ląd.



Tysiące rannych, ofiar trzęsienia ziemi, po uzyskaniu pierwszej pomocy lekarskiej, pozostawiono bez dachu nad głową. Polski Czerwony Krzyż przekazał na pomoc ofiarom klęski 50 tys. zł.

TERROR W MAROKU



20 sierpnia porwany został i deportowany na Korsykę sultan Maroka Sidi Mohammed V wraz z dwoma synami. Równocześnie kolonizatorzy francuscy wzmagają terror przeciwko walczącemu o wolność i niepodległość ludowi Maroka.

KATASTROFA KOLEJOWA W ANGLII



W pobliżu dworca Victoria w Manchesterze miała miejsce przed kilku dniami katastrofa kolejowa, która pociągnęła za sobą śmierć dziesięciu osób. Przyczyną katastrofy było niedbalstwo władz kolejowych, które nie zabezpieczyły przejazdu.

POWITALI KONGRES

Tak się złożyło, że termin składania projektów dekoracji zbiegł się z terminem egzaminów na uczelni. Młode projektantki I. Wasilukówna i O. Kulakowska (po prawej) są dziś bardzo zadowolone, że gorący okres odpowiedzialnej pracy mają już szczęśliwie poza sobą.



Wykonywanie zaprojektowanych dekoracji odbywało się pod nadzorem autorów projektów. Szklany sufit nad dużą, mieszczącą 1.200 delegatów, salą ozdobiono inicjałami Międzynarodowego Zrzeszenia Studentów. Wzdłuż olbrzymiej sali stoją dwa szeregi flag narodowych wszystkich uczestników obrad. Za stołami prezydium umieszczono emblemat Zrzeszenia na tle szerokiego, niebieskiego horyzontu. Zdjęcia: W. PRAŻUCH

Tak oto wygląda każda z dwudziestu jedwabnych chustek, wykonanych przez studentów wydziału włókienniczego Politechniki w Łodzi. Delegacja japońska otrzyma od nich także piękny, utkany z wełny proporzec z emblematem ZMP.



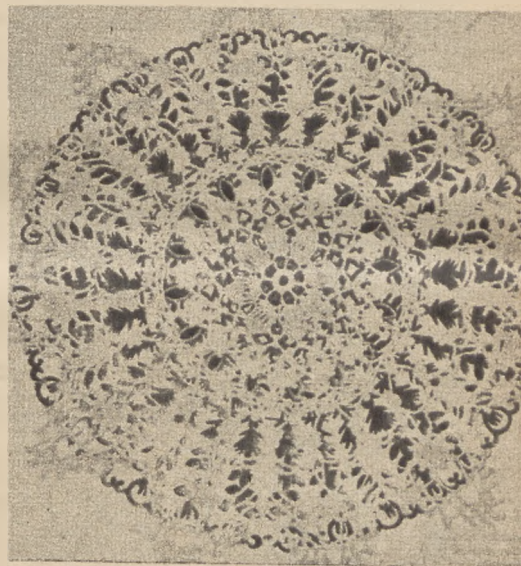
Z okazji III Światowego Kongresu Studentów Warszawa przybrała uroczysty wygląd. Udekorowane zostały dworce kolejowe, lotniska, place stołeczne, Domy Akademickie oraz sala Kongresowa w Akademii Wychowania Fizycznego na Bielanach.

Głównym akcentem dekoracji miasta — wielojęzycznych hasel i barwnych transparentów — jest walka studentów o pokój i przyjaźń między narodami oraz solidarność z młodzieżą krajów kolonialnych w jej walce o niezawisłość narodową i prawa demokratyczne.

Projekty wszystkich dekoracji przygotowała pracująca społecznie grupa studentów z wydziałów architektury wnętrza i scenografii Akademii Sztuk Plastycznych oraz wydziału architektury Politechniki Warszawskiej.

Młodzi plastycy projektowali także dekoracje zorganizowanych w Warszawie na czas trwania III Kongresu wystaw: kopernikowskiej, rozwoju rolnictwa w Polsce, osiągnięć medycyny oraz wystawy prac studentów Akademii Sztuk Plastycznych.

Genowefa Jędrzejczak przeznaczyła swoją robótkę studentom angielskim.



Studenci Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie przekażą w darze zagranicznym kolegom 7 własnych kompozycji.



CZYNNEM

Serdeczny stosunek do spraw Kongresu pomagał w ofiarnej pracy E. Malczewskiej (druga od prawej) i Z. Pietrusińskiej. Stosunek ten był powodem, że w okresie egzaminów spędzały one całe noce nad projektami dekoracji. Zainteresowanie sprawami Kongresu było również źródłem pełnej hartu postawy dziekana wydziału architektury wewnątrz Warszawskiej Akademii Sztuk Plastycznych, prof. Czesława Knothego (drugi od lewej), który przeżywając bolesną chorobę w rodzinie znajdował czas dla życzliwego i uważnego dyskusowania projektów studentów.



Lalki w polskich strojach ludowych i inne upominki pojadą z Warszawy do Wietnamu, Francji, Iranu, Stanów Zjednoczonych, Kanady, Niemiec, Australii i Egiptu.



Polska młodzież akademicka przygotowała liczne upominki dla delegacji zagranicznych, przybyłych do Warszawy na III Światowy Kongres Studentów. Podarki pochodzą ze wszystkich polskich wyższych uczelni. Część upominków zakupiono z funduszy, zebranych z powszechnych składek wśród studentów, większość jednak — to własne prace słuchaczy szkół artystycznych. Tak np. studenci Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie nadesłali własne kompozycje, Akademii Sztuk Plastycznych wykonały dwanaście tek grafiki, Wydział Rolny Uniwersytetu Jagiellońskiego przysłał zieleniki, Akademii Medycznej — preparaty naukowe, Katolicki Uniwersytet w Lublinie — tekę rysunków J. Kowalczyka, poświęconych starej architekturze Lublina. Wśród kilkuset podarków widzieliśmy także robótkę szydełkową, misternie wykonaną przez studentkę II roku fizyki Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Łodzi.

Kilkadziesiąt uczelni przysłało albumy fotografii, obrazujących życie i pracę studenta w Polsce. Znaczna ilość podarków posiada już dedykacje, i tak np. albumy z fotografiami są przeznaczone między innymi dla delegacji studentów Indonezji, Australii i Egiptu.



PAWEŁ — OBOISTA

BYWAJĄ takie dni, kiedy książka zastępuje słońce. Niebo nakrywa ziemię jak smutna misa cynowa, wszędzie jest szaro i wilgotno, więc nie chce się wyjść z domu. Najlepiej jest zapalić lampę życzliwą pod kolorowym abażurem, przysunąć fotel i sięgnąć po książkę. Wybrać trzeba jedną z tych, co pisane były w czas pogody przez pogodnego ducha autora. Wtedy poprzez książkę, jak tunelem św. Gotarda łączącym szwajcarską zimę z wiosną Włoch, dostajemy się w świat wypełniony łagodnym pięknem. Nad głową mamy niebo błękitne i pod ramię prowadzi nas autor, który mówi: „Spójrz, jakie ładne są te kwiaty. Jeśli chcesz, podejdziemy i powachamy je”.

Tak było ze mną któregoś wieczoru. Nie pamiętam już kształtu ani fotela, ani lampy, bo wieczór ów minął dawno. Sprzęty zatarł czas opuszczanymi kolejno zasłonami wielu lat. Ale książkę pamiętam.

Autor — Francuz opowiadał o rzeczach ważnych i nieważnych z jednaką dbałością o to, by w oczach czytelnika błyszczały wszystkie wszystkimi blaskami paradoksów, kalamburów, nieoczekiwanych metafor i zestawień słownych, jak błyszczą mistrzowsko oszlifowane brylanty na jubileuszowej wystawie. Ta francuska dbałość o sztukę formy utrudnia często autorom trzymanie się drogi prawdy, która jest drogą prostą i surową. — Tak było i z moim autorem. Dla udanego paradoksu rzucał twierdzenia, które zaskakiwały, zdawały się zachwycać swą nowością, lecz wkrótce — pod naporem krytycznej myśli — pękały jak bańki z mydła i już tylko zostawał śmiech po nich.

Zgadzało mu się jakoś tam o Hiszpanii. Więc, żeby było dziwniej, napisał, iż kastaniety są dla Hiszpanów tym samym, czym dla Polaków fortepian. — Rozesmiałem się! Na chwilę oderwałem oczy od książki i wyobraziłem sobie szerokie mazowieckie równiny, złote od zboża i od strzech krytych słomą, a pod tymi strzechami czarne pudła Bechsteinów, a przy klawiaturach dziewczyny w pasiakach, wszystkie grające Chopina...

W tych czasach, kiedy poznawałem ową książkę, nawet Bechstein Filharmonii Warszawskiej, gdy odzywał się pod palcami doskonałych pianistów, miewał zbyt często w odpowiedzi echo pustej sali. Cóż było mówić o kulturze muzycznej reszty kraju! — Posmutniałem i zamknąłem książkę, która nagle wydała mi się impertynentką.

Minęło wiele lat. Teraz biorę do rąk ów miły tomik bez wstydu. — Mamy wiele nowych sal koncertowych, a przecież nie mogą pomieścić ludzi, którzy nauczyli się słuchać i chcą słuchać muzyki. — Co się zaś tyczy młodzieży wiejskiej i jej muzykowania...

Świeży kłopot mam z inną książką. Z tomem nowel Henryka Sienkiewicza, w którym zawarte jest sławne opowiadanie „Janko muzykant”. Znać je?... — Jakże moglibyście nie znać owej smutnej historii biednego a muzycznego dziecka wiejskiego, które tak bardzo pragnęło mieć skrzypce, że pewnej nocy zakradło się do dworu, chcąc potrafić chociaż ich struny. Przyłapano go, okrzyknięto złodziejem i zbito tak okrutnie, iż nieśczęśny Janko-muzykant zmarł w dni kilka. A kiedy już tylko brzozy muzykowały nad jego grobem, panna ze dworu

skarżyła się narzeczonemu na los, który każe jej żyć w „barbarzyńskim kraju, pozbawionym artystycznych talentów...”

Byłem wzruszony, ilekroć powracałem dawniej do tego opowiadania Sienkiewicza. A dzisiaj nie tylko, że się nie wzruszam, lecz unikam jak ognia — całego tomu, w którym znajduje się „Janko muzykant”. Stało się bowiem tak, że w imię najlepszych intencji obrzydzono nam piękną nowelę jak najdokumentniej! — Powstał balet o Janku-muzykancie, opera o Janku-muzykancie, w każdym niemal filmie o tematyce wiejskiej jest jeden Janko-muzykant, każdy publicysta uważa za swój obowiązek pisać o Janku-muzykancie, gdy tylko chce udowodnić raz jeszcze, że z muzyką w Polsce Ludowej jest lepiej, niż było za czasów Sienkiewicza.

Lepiej?... — Toż to tyle powiedziane, co nic! Szkoły muzyczne szeroko otwarte dla młodych chłopów, bursy i stypendia umożliwiające każdemu zdolnemu naukę w mieście, nie czekanie na młode talenty, lecz systematyczne wyławianie ich z terenu: to wszystko jest załedwie baza, na której odbywa się w naszych oczach coś na kształt wybuchu wulkanu.

Albowiem u tej młodzieży, wyrwanej ze środowiska od wieków zacofanego i uciskanego, daje się zaobserwować jakaś renesansowa erupcja talentów! Jeden jest zdolniejszy od drugiego, a przy tym każdy tak zjadł na naukę, jak gdyby własną pracą chciał odrobić zacofanie wielu pokoleń wsi swojej. — Kiedy montowano zespół pieśni i tańca „Mazowsze” i werbowano doń młodzież wiejską, to przyjętych do zespołu adeptów trzeba było pilnować po nocach, gdyż wstawali i — traktując poręcz łózka jako drążek — nocami doskonalili się w tańcu!

A my nic, tylko o Janku-muzykancie...

Złą przeszłość należy mieć w pamięci, żeby móc docenić teraźniejszość. Lecz ciągłym przypominaniem jej nie można zastępować interesowania się sprawami dnia dzisiejszego i dni przyszłych.

Myślę, że przyszły Sienkiewicz (oby się narodził jak najprędzej talent tej miary!) pędzić musiał wziąć na warsztat temat zgola różny od historii Janka-muzykanta.

Oto w pewnej wsi naszej wszyscy młodzi grają już na jakichś instrumentach. Tylko jeden Paweł nie. Słoń — jak się mówi — nadeptał mu na ucho i chłopak nie chce interesować się muzyką. Ale to przynosi wstyd gromadzie, więc go rozmaici nagabują:

— Paweł, wzięłbyś się za skrzypce!
— Nie wezmę. Idźcie na diabły!...

— No to może byś grał na kontrabasie?

— Honorny jestem. Nikomu basować nie będę.

— A na flecie nie chciałbyś grać, Paweł?

— Na kocim ogonie też nie chcę!
W końcu jakimś sposobem — jakim, to już sprawa owego przyszłego Sienkiewicza — namówili go i Paweł zaczął grać na oboju, ku wielkiej radości całej wsi.

Takie czy inne będzie to opowiadanie — jednego jestem pewien, że nie będzie mogło brzmieć smutnie. Bowiem są dziedziny w naszym nowym życiu, w których już dziś jest miejsce tylko na czystą radość.

JERZY WALDOFF

DZIŚ JUŻ OBRAD

Zdjęcia: JAN KOSIDOWSKI

...lecz gdy odwiedziliśmy ich po raz pierwszy — jeszcze odpoczywali. Z bukareszteńskiego Festiwalu — którego pierwszy nasz rozmówca, Cardinetti, student ekonomii z Mediolanu, „nie zapomni nigdy w życiu” — przybyli do położonego wśród lasu podwarszawskiego Zagórza, by nabrać nowych sił przed Kongresem, i w miarę swych życzeń zgromadzić wiadomości o naszym kraju i naszej stolicy.

Była to dopiero pierwsza grupa gości, obejmująca zaledwie sto kilkadziesiąt osób, lecz pod względem narodowościowym bardzo zróżnicowana: Włosi i Anglicy, mieszkańcy Ameryki Łacińskiej, Skandynawowie, południowi Afrykańczycy. Nie pierwszy to raz Warszawa wita w swych murach zespół ludzi o różnych kolorach skóry i różnych językach — i nie pierwszy raz ludzie tacy oglądają rosnące mury miasta, którego nazwa jest we wszystkich językach świata symbolem odbudowy. Jednak zarówno Szwedka z prastarej uczelni w Upsali, jak Anglicy ze sławnych przybytków nauki w Cambridge czy Oxford, jak wreszcie Włoch z najmłodszego włoskiego uniwersytetu w Mediolanie, zdają sobie chyba sprawę z wagi momentu, w jakim toczą się obrady Kongresu: toczą się one w chwili, w której po raz pierwszy od lat wielu idea rokowań i porozumienia, idea poczęta z wielkich tradycji humanizmu, zatriumfowała nad duchem wojny i zniszczeń. Toczą się one w chwili, w której rozejm w Korei dowiódł, że jeśli gorąco się pragnie pokoju i usilnie doń dąży — można pokój ocalić.

Przyjechali więc do naszej stolicy na wielką, szczerą rozmowę o tym, jak przyczynić się do utrwalenia i umocnienia pokoju, jak polepszyć warunki bytu i studiów we wszystkich krajach świata, jak pomóc młodzieży krajów kolonialnych i zależnych w zdobyciu praw do nauki, jak walczyć o demokratyzację nauczania, jak zapewnić pełne zatrudnienie absolwentów. Będą rozpatrywać te sprawy z różnych punktów widzenia, z perspektywy rozmaitych poglądów na świat, z platformy najróżniejszych przekonań i wierzeń. Można jednak wnosić już z pierwszych, ułamkowych, przy-

padkiem wymienionych słów, iż przyjechali z nadzieją, że jeśli się realizacji tego celu gorąco pragnie i usilnie do niej dąży — można uczynić szczęśliwszą młodzież całego świata.

Są ciekawi, bardzo ciekawi, jak owe wszystkie problemy, stanowiące temat obrad kongresowych — rozwiążali i rozwiązują u siebie polscy studenci. Wiceminister Szkolnictwa Wyższego, Golański, przybył do Zagórza na całe przedpołudnie, szeroko, wnikliwie i serdecznie odpowiadał im na każde z czterdziestu czterech pytań. Udzielając rzeczowych, ścisłych informacji o warunkach bytu studiującej młodzieży w Polsce — pokazał, jak państwo nasze studentom pomaga, jak niecierpliwie czekają na coroczną rzeszę absolwentów nasze zakłady przemysłowe i naukowe ośrodki, nasze rolnictwo, nasza kultura, nasza sztuka. „Na czym polega konkretnie wychowanie młodzieży w duchu walki o pokój?” — padło pytanie. „Pamiętacie — odparł wiceminister Golański — ową postać z „Wyspy Pingwinów” Anatola France, która na pytanie: „Kogo nienawidzicie najbardziej?” odpowiada: „Naszych sąsiadów”. Otóż nacjonalizm i szowinizm jest u nas przeszłością. Państwo nasze wychowuje młodzież w głębokim szacunku dla wszystkich ludzi, utrwała i umacnia w młodym pokoleniu świadomość, że w stosunkach między narodami nie ma miejsca na nienawiść — lecz jest miejsce na prawdziwą, wielką przyjaźń”.

Pierwsza grupa delegatów przybyłych do Warszawy, ta właśnie, o której piszemy, rozpozna się na naszych zdjęciach i odczyta swe słowa, przetłumaczone im niewątpliwie na ich języki ojczyste. Zarówno ich, jak wszystkich innych uczestników Kongresu, z radością witamy w naszej ojczyźnie. Życzymy im skutecznych, owocnych obrad. Pragniemy, by — kiedy od nas wyjadą — związani byli między sobą jeszcze ściślejszym przymierzem, jeszcze gorętszą przyjaźnią. Pragniemy, by III Światowy Kongres Studentów porwał ich do jeszcze żarliwszej pracy nad utrwaleniem i umocnieniem pokoju, który jest warunkiem rozkwitu twórczej myśli ludzkiej.

Zwykle są pytani właśnie studenci — ale teraz oni zadawali pytania wiceministrowi Golańskiemu (z lewej u dołu, w krawacie). Cisnęli się też zaraz do mapy kraju, w którym zapomniano już o „nadprodukcji inteligencji”, który czeka każdego roku na absolwentów szkół wyższych, i gdzie młodzież uczy się poszanowania człowieka.



Koleżanko z Wielkiej Brytanii! Proszę się rozpakować i rozgościć! Całym sercem witamy wszystkich studentów przybyłych do naszej stolicy na obrady Kongresu!

Heather Black, Barbara Friend, dwie rakiety, jedna piłeczka. III Kongres zebrał się m. in. właśnie po to, aby młodzież świata walczyła ze sobą tylko przy stołach ping-pongowych, na bieżniach i boiskach.



George Arias Gomez przybył z Salvaduru, Julio Duran Garcia — z Republiki Dominikańskiej, Carlos Neves D'Alge — z Brazylii, Carlos Orellana — z Chile. Studentka (na zdjęciu z prawej) Gudrider Gudrunssdotter pochodzi nie — jak oni —



UJA...



Tove-Marie Hansen studiuje w Kopenhadze malarstwo. Teraz jest już na sali obrad w Warszawie, razem ze studentami sponad stu krajów przybyłymi na Kongres.

Irlandka Jennifer Warren (z lewej) studiuje ekonomię i języki na Uniwersytecie Londyńskim. Nie brak jej ani humoru, ani apetytu. Gdy pytaliśmy Jennifer o opinię o polskiej kuchni, odparła bez zastanowienia: „Fine!”



z Ameryki Łacińskiej, lecz z owianej mroźnymi wiatrami wyspy Islandii. Wiele trudu wkłada tłumaczka, Joanna Sokołowska (z lewej), by ułatwić im zrozumienie ich myśli. Wspólny język studentów — to pragnienie trwałego pokoju!



Była to pierwsza grupa gości — zaledwie sto kilkadziesiąt osób. Wypoczywali po trudach podróży w pięknej miejscowości podwarszawskiej. Sport, gry, długie spacery po wrzosowiskach skąpanych w sierpniowym słońcu. Pewnego dnia odwiedził ich wiceminister Szkolnictwa Wyższego. Skupili się wokół tłumaczy, by go zrozumieć.

Broda dodaje poważnego wyglądu — szorty go ujmują! Jest kilku takich młodych brodaczy między studentami włoskimi. Broda nikomu nie przeszkadza a przysparza dumy (i oszczędności na goleniu) jej posiadaczowi.



Birgitta Larsson (w białej czapce) studiuje na Uniwersytecie w Uppsali, założonym w roku 1477. Między uczestnikami Kongresu są też studenci Oxfordu (zał. w 1241 r.) i innych najstarszych uczelni świata.



Svend Berg przygotowuje się w Sztokholmie do zawodu nauczyciela. Może kiedyś w szwedzkiej sali szkolnej będzie wisiał wizerunek domu w dalekiej Polsce, gdzie „pan profesor” spędził w 1953 roku miłe chwile.





KIEDY STANIEMY NA SAMEJ GRANICY WSI ALEKSANDRÓW POD RADZYMINEM, TAKI OTO WIDOK ROZCIĄGA SIĘ DZISIAJ PRZED NASZYM OCZAMI

LAS WRACA NA WYDMY

JULIA HARTWIG

Fot.: K. JAROCHOWSKI

Podobno, kiedy na dalekich pustyniach, Lewantu zaczyna wiać wiatr, wielbłądy niosące jeźdźca w długą drogę klękają, stulają uszy i wyciągają żałośnie szyje; co pozostanie z wielbłąda i jego pana, kiedy przejrzyste w pierwszej chwili zasłony piasku zamienią się w ciężką, suchą lawinę, zdolną powalić wszystko, co jej stanie na drodze?

Kiedy wiosną lub jesienią porywiste wiatry zaczną uderzać w ściany domów na Pohulance, w Starej Miłośnie, Leśniakowszczyźnie i wsiach pod Radzyminem — w szyby poczyną bić równocześnie sypki piasek, okna zarastają od dołu pagórkami żółtego pyłu, a ludzie idący drogą zaciskają co szybciej powieki, chroniąc oczy przed tym oślepiającym suchym deszczem.

Czy jeździec posuwający się po pustyni wspomina czasem zielone cedry, które rosły tu niegdyś, dając okolicę zamkniętością, łagodnym klimatem i przyjaznym cieniem?

Czy chłop mieszkający w pobliżu stacji Pustelnik III, o kilkanaście kilometrów od Warszawy, wspomina — patrząc na dzisiejsze suche wydmy — dawne zielone dąbrowy, rosnące tu niegdyś bujnie i użyźniające grunt krociami opadłych liści?

CZYJA WINA?

Zapewne ani jeden nie wspomina cedrów, ani drugi dąbrowy. Mają pilniejsze rzeczy na głowie. A przecież zarów-

Tak wygląda typowy płotek z kaspijskiej wierzby. Dzięki staraniom człowieka ta wydma jest już „ustalona”. Teraz przyszła kolej na sadzenie sosny.



Na ogólną liczbę około 20.000 hektarów nieużytków otaczających obszar Warszawy — i to nie tylko dzisiejszy, ale i zaplanowany na przyszłość obszar Wielkiej Warszawy — przypada około 2.500 hektarów wydym piaszczystych. W niektórych okolicach zdarzają się wydmy, przytykające do siebie granicami, których łączna rozległość sięga 300 hektarów. Owa podwarszawska Sahara to prawdziwa bolączka. Albowiem wydmy nie tylko same są nieużytkami, ale na domiar złego szkodzą polom ornym i łąkom, zasypując je na szerokość kilkunastu, a czasem nawet kilkudziesięciu hektarów piaskiem.

Wszystkie te lotne piaski zawdzięczają swój żywot wycięciu lasów. Toteż lekarstwem na wydmy jest ich zalesienie. Wokół Warszawy zalesionych zostanie 20.000 hektarów. Do chwili obecnej — zarówno dzięki pracy specjalnie w tym celu zatrudnionych robotników, jak i dzięki społecznej akcji prowadzonej głównie przez młodzież — zalesiono już 9.000 hektarów.



Nowy las i nowe domy w Aleksandrowie. Ten budynek stawia Kazimierz Osiński, doświadczony murarz, który pracował przedtem na niejednej warszawskiej budowie.

no tamten na odległym kontynencie, jak i ten, mieszkaniec podwarszawskich okolic, miałby prawo sięgnąć myślą do tych „zielonych lat”. I tu i tam wycięcie lasów przyniosło ziemi jałowość, a człowiekowi ubóstwo. I tu i tam wycięcie lasów przyniosło klęskę gospodarce rolnej.

W życie rodziny Wiśniewskich i całej wsi Aleksandrów lotne wydmy „wkroczyły” w sposób nie tylko nieoczekiwany, ale i — powiedzieć by można — bezprawny. Jakim bowiem prawem ten sam piasek, który, jak pamięcią sięgnąć, za-

chowował się w sposób zgodny z ustalonym porządkiem rzeczy, to znaczy pokrywał korzenie sosenek w pobliskim lesie i spokojnie dawał się ugniatać na drogach kołami wozów drabiniastych — nagle buntuje się i urządza formalne naloży na domy mieszkalne, zasypując chałupy i zmieniając ustaloną od lat topografię podwórzy, ba, wsi całej? Nie da się ukryć, że ten zły czas na piaski zaczął się w Aleksandrowie wraz z początkiem wyrębu lasów. Część wyrębał obszarnik, część gospodarze na opał i budulec, reszty dokonała wojna. Od

tej chwili piasek jak morze ruszył na zabór wsi.

Warto zwiedzić tę wieś Aleksandrów pod Radzyminem. Zawsze była uboga, ale już ta śmierć sąsiadującego z nią lasu zubożyła ją doszczętnie. Stoją porzucane wśród pagórków piaszkowych chałupy drewniane, osowiałe, bez uśmiechu zieleni czy kwiatowego ogródka. Dziwi w tej wsi i ta jej nagość, i nierówności terenu, i bezbarwność, i coś jakby jeszcze. Prawda — żadna z chałup nie ogrodzona; między jednym domem i drugim bez przeszkód wędruje słońce, wiatr, stada gęsi i prosiąt. Prosty jest tego powód: lasu nie ma, drzewa nie ma, nie ma więc i płotów.

DRZEWA NA STRAŻY DOBYTKU

Czy na wieki już taka smutna i piaszczysta przyszłość zapisana jest wsi Aleksandrów?

Tuż za domem Wiśniewskiej, ogrodzonym wyjątkowo od tej strony, od strony wydmy, płotem (a raczej trzema płotami, stawianymi kolejno jeden za drugim, kiedy poprzedni zasypało), ustalona została granica, dziś już wyraźna, zieleniejąca, prawdziwa granica nadziei — skraj młodego lasu. Ciągną się dwu-, trzy-, cztero-, sześciolate sosenki, tu słabsze, tam silniejsze, ale przecie rosnące z każdym miesiącem i dzielne, posadzone dla służby człowiekowi, dla ochrony jego domu i interesów. Siedzą drzewka, trzymają piach lotny i rozbisurmaniony, trzymają całą lotną wydmy „za pysk”, nakazując jej odłączyć żywot osiadły, spokojny, wkrótce nawet — pożyteczny.

— Skończyło już piaskiem wiać — mówi Wiśniewska. I uważa ten pomyślny zwrot za rzecz najnaturalniejszą pod słońcem. Piasku nie było, potem piasek był, teraz piasku nie ma — taki jest skrót historyjki, a że kończy się dobrze, zdawałoby się, nie warta jest dłuższego zastanowienia.

A przecież...

Bo kiedy Ministerstwo Leśnictwa i Stołeczna Rada Narodowa zaplanowały sadzenie lasu w Aleksandrowie dla ustalenia dokuczliwych wydym, aleksandrowskim gospodarzom nie wydawała się ta historyjka aż tak prosta. Odmówili więc zgody na zalesienie ziemi, należącej do nich, choć nie przynosiła im i tak żadnego pożytku. Trzeba się więc było ogra-

niczyć do terenów państwowych. Ale z lasem państwowym widać nie tak samo jak z cudzą krową, która sąsiadom mleka nie ma zwyczaju dawać, bo tu właśnie cała korzyść wynika z tego sąsiedztwa z państwowym lasem. Na znak dawnego nieporozumienia i minionej nieufności, do której nikt już dziś nie lubi się tam przyznawać, została tylko ta granica lasu za domem Wiśniewskich, granica wstydliva trochę, ale zaciera stopniowo przez samą naturę: zielenie się tu rozszerzy, rozwinie, pomaszeruje na wioskę, podobnie jak teraz pionierska piasznica, ostra, szarozielona trawa, własną ręką tocząc bój z podwarszawskimi wydmy.

Z wydmy jest podobnie jak z chorobą zakaźną lub pożarem: wystarczy jedno ognisko, a wiatr rozdmucha je, roznieśli coraz szerzej i szerzej. Gdyby nie interwencja człowieka, szkody poczynione przez wydmy lotne rosłyby z każdym rokiem. Człowiek ustala te wydmy, unieruchamia płotkami z gałęzi, przeważnie jałowcowymi. Łamiącymi siłę wiatru, obsadza je na kształt płotków wierzbą kaspijską, najmniej chyba kapryśnym z drzew, które rośnie tak, jak je wsadzić, i własnym przemysłem, przy pomocy długich nitkowatych korzeni szuka sobie ornackiem wody na niewdzięcznych, suchych przestrzeniach piaszków. Takim systemem, dzięki kaspijskiej wierzbie, ustalono wydmy koło Pustelnika III.

Płotkami z jałowca zakładanymi w kwadraty o boku 40—50 metrów ustalono wydmy pod Aleksandrowem. Po dwu latach między jałowcowymi płotkami, które z czasem rozpadają się, krusząc i użyźniając piaski swym igliwem i gałązkami — posadzono sosnę i inne drzewka i krzewy. Najwięcej sosny — 70%; bo piasek to typowe siedlisko sosny. W dołach umieszczono brzozę i dąb, gdzie indziej klon, olchę i krzewy kruszyny.

Tam, gdzie wydma jest najuporczywsza, tam gdzie i płotek z jałowca nie pomaga — sieje człowiek lubin długimi, równoległymi do płotków rzędami. W ten sposób postępowano tuż za domem Wiśniewskich w Aleksandrowie, nad granicą „państwowego”, które dziś zielenieje lasem, i prywatnego, które polyskuje wciąż jeszcze piaskiem.

DWOM WOŁOM POD ROZWAGĘ

Są takie wsie sławne już dziś z bardzo niesławnej akcji, której celem jest niszczenie tego, co stać się może podstawą dobrobytu ich mieszkańców: Stołeczna Rada Narodowa posadziła na nieużytkach otaczających Wołę Karczewską i Wołę Ducką młody las. Z wielkim nakładem kosztów i ludzkiej pracy. Od tej chwili mieszkańcy Woli Karczewskiej i Woli Duckiej postanowili wypasać całe swoje bydło jedynie na smakowitych pę-



To nie podwarszawska plaża nad Wisłą, ale pas wydmy w drodze na Radzymiń.

dach młodych drzewek, niszcząc je, zdeptując i równając z ziemią. Stołeczna Rada Narodowa wysłała swoich przedstawicieli, tłumaczy, prosi — nic nie pomaga. Wola Karczewska i Ducka mają o sprawie swój własny i niezachwiany sąd i postanowiły jednomyślnie nie odstąpić od swego: ograbić najpierw okolice, a potem z kolei i siebie z tego, co ośmieliłoby się być za kilkanaście lat ich własnym, Duckim i Karczewskim lasem, który gotów był z kolei sprowadzić na ich wsie nieszczęścia tej miary, co korzystna dla gleby wilgotność oraz sąsiedztwo naturalnie łagodzące zbyt silne wiatry.

Ciekawe, kiedy dwie Wole pójdą po rozum do głowy? Trzeba zapewne ludziom tamtejszym lepiej i w porę wytłumaczyć po gospodarsku całą sprawę, bo inaczej w pobliżu ich domostw można będzie ufundować na wieczną pamiątkę kamień z takim podniosłym napisem: TU KROWY ZJADŁY LAS.

Na szczęście w innych podwarszawskich stronach mieszkańcy osad i wsi zachowują się z większym zrozumieniem wobec planów zalesieniowych. W przyszłości cała piękna i odbudowana Wielka Warszawa otoczona zostanie gęstym pierścieniem lasów.

Nie będzie już wtedy powodu do narzekania, że bliskie okolice Warszawy czuć torfowiskiem, podskórnymi bajorkami i chudą, wyszczypaną łączką. Kolejowe przystanki wokół stolicy zapachną sosnowym lasem, w którym obozować będzie w niedziele młodzież z warszawskich szkół. Zaś wieś, która najpiękniej wyhoduje swój sąsiedzki las, będzie mogła starać się o przywilej, by każdego roku, w dzień większego święta, móc wypuszczać wysoko ponad wierzchołki drzew wielki kolorowy latawiec z barwnym napisem: „TYCH LASÓW DZIĘKI NASZYM STARANIOM NIE ZJADŁY KROWY ANI OWCE”.

Od chwili wyrębu lasu w Aleksandrowie piasek jak morze ruszył na zabór wsi



„ŚWIAT” przypomina

Kompozytor trochę zapomniany

99 LAT temu, 23 sierpnia 1854 r., urodził się we Wrocławiu wybitny kompozytor polski, sławny pianista — Maurycy Moszkowski. Polskie piśmiennictwo muzyczne, niestety, żadnej niemal uwagi nie poświęca Moszkowskiemu, podczas gdy — wydawać się to może śmieszne — zagraniczne źródła muzyczne cenią go jako wysokiej klasy kompozytora polskiego.

W Polsce grywa się Moszkowskiego b. rzadko, ograniczając się do kilku najpopularniejszych jego utworów, podczas gdy w zagranicznych programach radiowych, koncertowych, programach spektakli baletowych itp. Moszkowski jest b. częstym gościem. Jego muzyka — wprawdzie nie napiętnowana znamiem geniuszu — posiada jednak tak wiele walorów, że wartość jej jest bezsprzecznie nieprzemijająca. Bogactwo melodyjnej tematyki, opracowanej z dużym smakiem i głębokim znawstwem kunsztu kompozytorskiego, zjednywa muzyce Moszkowskiego, popularnej i dostępnej, szerokie rzesze zawsze chętnych słuchaczy.

Z uznaniem wyraża się o Moszkowskim fachowe zagraniczne piśmiennictwo muzyczne. „Hiszpańskie tańce” Moszkowskiego są powszechnie znane. „Cieszą się one bezprzykładną wprost popularnością” — pisze znany muzykolog niemiecki, Walter Georgi, w dziele „Klaviermusik” (Atlantis Verlag, Zuerich, II wyd. 1950). Dłużej zatrzymuje się on następnie nad etudami Moszkowskiego z op. 92, a porównując je z etudami Saint-Saensa z op. 135 podkreśla, iż wspomniane kompozycje „Polaka i Francuza” zajmują „w okresie po Skriabinie i Regerze czołowe miejsce”.

Głos Waltera Georgi nie jest odosobniony. Podobnych opinii można by zacytować wiele. Ba, jak notuje biograf Czajkowskiego, Herbert Weinstock, wielki kompozytor rosyjski przy okazji poznania Moszkowskiego w Berlinie w r. 1888 z uznaniem wyrażał się o talencie młodego, 33-letniego naówczas, kompozytora polskiego. (Herbert Weinstock: „Tschalkowsky”, Winkler Verlag, Muenchen).

W tej krótkiej notatce, mającej na celu — że tak powiem — „przywrócenie Moszkowskiego na ojczyzny łono”, pragnę jeszcze zwrócić uwagę na jeden moment: polskości podłoża tematycznego muzyki Moszkowskiego. W zagranicznej literaturze fachowej w pewnym stopniu utarł się pogląd, któremu



Maurycy Moszkowski

daje wyraz Emil Naumanns w swej „Historii Muzyki” („Illustrierte Musikgeschichte” VII wyd., Uniondeutsche Verlagsgesellschaft 1923). Jest on zdania, iż twórczość Moszkowskiego, „w której przebijają wprawdzie ludowe pierwiastki polskie”, znajduje się jednak pod tak silnym wpływem muzyki nowoniemieckiej i francuskiej, że „trudno nazwać Moszkowskiego polskim kompozytorem narodowym”.

Oczywiście i w tej materii decydujące słowo należy do muzykologów polskich. Chodzi jednak o to, by zająć się tą sprawą, by zbadać bogatą zawartość teki kompozytorskiej Moszkowskiego, z której wymienić sobie pozwolę: koncert fortepianowy (op. 59), koncert skrzypcowy (op. 30), poemat symfoniczny „Jeanne d'Arc” (op. 19), opera, suity orkiestrowe, balet „Laurin”, a ponadto mnóstwo utworów na fortepian, skrzypce, wiolonczelę i wokalnych.

I jeszcze jedno. Czy miasto Wrocław, rodzinne miasto znanego na całym świecie kompozytora polskiego, nie powinno uczcić jego pamięci, zwłaszcza że zbliża się tak dogodna po temu okazja, jak setna rocznica urodzin, przypadająca 23 sierpnia 1954 roku?

LUDWIK FAGOT

Prus o chłopach

PO raz pierwszy w książce ukazały się ostatnio nakładem „Ossolineum” listy Prusa do żony. Stanowią one bardzo ciekawe naświetlenie osoby tego jednego z największych pisarzy polskich. Z tomiku wynotujemy w naszej rubryce ciekawą ocenę położenia chłopów w Galicji, dokonaną na pod-

stawie obserwacji w roku 1898. Prus pisze:

„Kraków tym razem i jako zbiór pięknych budowli podobał mi się lepiej. Jest nawet duży ruch umysłowy i społeczny, ale... bieda...” „W pewnej wsi, pod Szczawnicą, chłopci żywią się gliną i korą(!), lecz nikt się tym nie zajmuje”.

Kraszewski o emigracji

W PIŚMIE „Tydzień”, wydawanym w Dreźnie, w roku 1870 inny wielki pisarz polski, Józef Ignacy Kraszewski, pisał:

„Korespondencja z Białosiłwia przejęła nas smutkiem. Wychodźstwo ludu naszego do Ameryki jest klęską niepowetowaną — jest bólem gorzkim, dotkliwym i krwawym — że się tak wyrażę. A jeszcze — a jeszcze korespondent wykazuje nam winę tego nieszczęsnego i nieszczęśliwego wychodźstwa, jakoby spowodowaną, wywołaną, wymuszoną przez niesprawiedliwość i pokrzywdzenie ze strony dziedziców włości — ich zastępców, rządów i komisarzy... — Zapytana płacząca kobieta — żegnająca rozdartym sercem ziemię rodzinną — o powód tej emigracji, opowiedziała korespondentowi doznane krzywdy, złorzeczając przy tym: „Niechaj ich Pan Bóg zasmuci w czym się najbardziej kocha...” Mąż jej — mówiła — posłużywszy lat 35 w do- brach, teraz w podeszłym będąc wieku, pozbawiony został chleba, bo się snadź z wejrzenia p. pełnomocnikowi nie podobał, ile że przecież żadnej nie dopuścił się winy. „Nie dosyć na tym — kończyła biedna smutnie opowiadanie — że nam na każdym kroku cudzoziemcy chleba odmawiają, lecz trzeba nam było do-

czekać, żeby Niemiec, na polskim chlebie siedzący, nam w imieniu polskiej dziedziczki krzywdę do Boga o pomstę wołającą wyrządził. Tego samego co my i inni doczekali się ludzie, od lat wielu zasiedli w dobrach...”

„Jeżeli to wszystko jest prawdą — o czym przecie dowiedzieć się nie trudno — krzywdzicie, wypędzając lud polski z ziemi polskiej i zmuszając ich do szukania chleba poza Atlantyką, winni być imiennie pod pręgierz opinii publicznej oddani. Pozbawiając nieszczęśliwą ojczyznę jej synów, ciężki popełniają występki, i gorzej to jeszcze podobno, jak pozbywanie się lekkomyślnie ojcowizny i puszczanie jej w obce ręce”.



Baraki emigrantów polskich w Santa Barbara (Parana). Zdjęcie z końca XIX wieku.

STEFAN ARSKI

GDY Beck, Rydz-Śmigły i Składkowski torpedowali porozumienie z ZSRR na swoim odcinku*) — Chamberlain i Daladier czynili to samo na innych. Godząc się pozornie na objęcie zbiorową gwarancją Polski i Rumunii, nie zgadzali się równocześnie na taką samą gwarancję w odniesieniu do krajów bałtyckich. Rząd radziecki wskazał, że takie stanowisko oznacza po prostu zachęcanie Hitlera do agresji poprzez państwa bałtyckie. Tak też było istotnie. Na tym przecież polegała cała strategia polityczna państw zachodnich: otwierać Hitlerowi furtki agresji na wschód.

Taką furtką miały być państwa bałtyckie, świadomie pozostawione bez gwarancji. Ale nie tylko państwa bałtyckie, lecz i Polska. Przekonamy się zaraz, że cała polityka anglo-francuska, za osłoną dymną rokowań ze Związkiem Radzieckim, przygotowywała nowe Monachium na wschodzie. Tym razem kosztem Polski.

W marcu 1939 roku, pod świeżym wrażeniem zaboru Czech i Moraw przez Hitlera, Chamberlain musiał — pozornie przynajmniej — zmienić swą politykę ugody z faszyzmem. Uczynił to z największą niechęcią. Użył wtedy efektownego chwytu w postaci tak zwanych gwarancji brytyjskich dla kilku państw europejskich. Gwarancję taką otrzymała także Polska.

O praktycznej wartości takiej gwarancji mówił Lloyd George w parlamencie:

„Chamberlain udzielił gwarancji Polsce, Rumunii i Grecji przeciwko olbrzymiej armii niemieckiej.

„Wyglądało to na pozór wspaniale. Ale ludzie, którzy cokolwiek znali się na rzeczy, od razu zgłosili sprzeciw. Ja pierwszy w Izbie Gmin zwróciłem uwagę na oczywiste fakty. Potępiłem, jako czysty obłąd, udzielanie takich gwarancji bez zapewnienia sobie poparcia militarnego ze strony Rosji.

„Tylko i wyłącznie wojska sowieckie mogą w porę dotrzeć na pole walki, by uratować armię polską od całkowitego rozgromienia przez potęgę niemiecką, która ma tak ogromną przewagę w ludziach, a przede wszystkim w sprzęcie wojennym“.

Rzeczywistość w pełni potwierdziła tę ocenę bezwarunkowości gwarancji brytyjskich. Ale udzielając ich, Chamberlain miał na względzie szereg istotnych dla swego kursu politycznego motywów.

Przede wszystkim chodziło mu o uspokojenie angielskiej opinii publicznej argumentem, że „coś się robi“. Po wtóre, o ułatwienie Beckowi (i jego odpowiednikom w innych, gwarancją objętych krajach) mamienia własnej opinii publicznej, która coraz głośniej domagała się akcji przeciwko Hitlerowi. Powołując się na gwarancje brytyjskie, Beck mógł tym łatwiej sabotować rokowania ze Związkiem Radzieckim. Było to również na rękę prawicowemu przywódcom tak zwanej opozycji: PPS i Stronnictwu Ludowemu. Łatwiej im było oszukiwać kraj operując mirażem brytyjskiej gwarancji, która — jak głosili — czyni zbędnym porozumienie z ZSRR.

A wreszcie gwarancje brytyjskie miały dla Chamberlaina jeszcze jeden cel: uzyskanie argumentu dla przetargów z Hitlerem. I to był dlań motyw najważniejszy. Ambasador Dirksen raportował z Londynu 3 sierpnia 1939 roku:

*) Por. pierwszy odcinek artykułu w poprzednim numerze „Świata“.

„Dominuje tu powszechne przekonanie, że kontakty z innymi państwami, — nawiązane w ciągu ostatnich miesięcy, stanowią tylko środek pomocniczy do pełnego porozumienia z Niemcami. Kontakty te ustają z chwilą, gdy osiągnie się jedynie ważny i godny wysiłku cel — porozumienie z Niemcami“.

„Kontakty“, o których mówi Dirksen, to właśnie gwarancja dla Polski, Rumunii i Grecji, to rokowania ze Związkiem Radzieckim. Zarówno przed, jak i po udzieleniu tzw. „gwarancji“ i przez cały czas tych rokowań rząd brytyjski był zaprzęgnięty prowadzeniem innych, tym razem zupełnie szczerzych rozmów: rozmów z wysłannikami Hitlera. Prowadził te rozmowy najbliższy współpracownik Chamberlaina, sir Horacy Wilson, wspólnie z panem Hudsonem z brytyjskiego ministerstwa handlu zagranicznego. Z ramienia Hitlera występował radca Wohltat.

Oto, co zaproponował Wohltatowi Hudson (według raportu ambasadora Dirksena z dnia 21 lipca 1939 r.): „Hudson rozwinął daleko idące plany współpracy anglo-niemieckiej... Między innymi wyraził on pogląd, że na świecie istnieją jeszcze trzy wielkie obszary, na których Niemcy i Anglia mogłyby znaleźć wielkie możliwości działania, a mianowicie: Imperium Brytyjskie, Chiny i Rosja“.

Tak to imperializm brytyjski układał z hitlerowcami plany podziału świata. Wielkorządcy Anglii gotowi byli nawet dopuścić Hitlera do udziału w eksploatacji krajów Imperium Brytyjskiego, byle uzyskać jego pomoc w łupieniu Rosji i Chin. I to wszystko w czasie, gdy dyplomaci i generałowie brytyjscy prowadzili rokowania w Moskwie... Łajdactwo angielskich polityków za imponowało nawet hitlerowcom. Bardzo się pochlebnie wyrażali o talentach mr Hudsona:

„Pan Wohltat odniósł wrażenie, że Hudson jest człowiekiem o szerokich horyzontach i dobrze się orientuje co do istoty sprawy“.

Jeszcze jak dobrze!

Z kolei zabrał się do roboty sir Horacy Wilson i dla rozproszenia wszelkich wątpliwości zaproponował rozmowy na „wyższym szczeblu“.

„Sir Horacy Wilson dał zupełnie wyraźnie do zrozumienia, że Chamberlain aprobuje ten program. Wilson zaproponował Wohltatowi natychmiastowe zwrócenie się do Chamberlaina, aby Wohltat mógł usłyszeć z jego ust potwierdzenie słów Wilsona“.

Przy tej sposobności rząd brytyjski wyraził również szczerą gotowość sprzedania swego najnowszego sojusznika, to znaczy Polski.



Podpisanie kordcordatu między hitlerowską Rzeszą a Watykanem. W środku — kardynał Pacelli (obecny papież Pius XII).

Ogłoszeniu gwarancji brytyjskiej dla Polski, gwarancji przekształconej później w sojusz, towarzyszyły fanfary wrzaskliwej propagandy po obu stronach. W Londynie przedstawiano to jako „rewolucyjny przełom w polityce brytyjskiej“, w Warszawie jako „niesłychany tryumf polityki ministra Becka“. A co sobie naprawdę rząd brytyjski myślał o tej imprezie — niechaj mówią fakty i dokumenty.

Sprawozdanie z rozmów Wilson-Wohltat, przesłane przez ambasadora Dirksena do Berlina, głosi:

„Sir Horacy Wilson oświadczył, że układ niemiecko-angielski... uwolniłby całkowicie rząd brytyjski od przyjętych przezeń obecnie zobowiązań gwarancyjnych w stosunku do Polski...“

Działo się to 3 sierpnia 1939 roku! Na cztery tygodnie przed 1 września! W obszernym raporcie, sporządzonym przez ambasadora Dirksena nieco później, znajdujemy dokładniejsze wyjaśnienie stanowiska brytyjskiego:

„W dziedzinie politycznej przewidziane było zawarcie paktu o nieagresji, zawierającego wyrzeczenie się zasady agresji. Głębszym celem tego paktu było umożliwienie Anglikom stopniowego rozluźnienia swoich zobowiązań wobec Polski pod pozorem, że na podstawie tego paktu stwierdzili wyrzeczenie się przez Niemcy metod agresji“.

„Myślą przewodnią tych projektów było — jak wyjaśnił sir Horacy Wilson — podjęcie i rozwiązanie zagadnień tak wielkiej wagi, iż w zestawieniu z nimi najbliższe zagadnienia wschodnie, jak np. Gdańsk i Polska, zostałyby odsunięte na dalszy plan i mogłyby być uregulowane bezpośrednio między Niemcami a Polską“.

Czyli dokładnie, jak sobie tego Hitler życzył. Dirksen też tak to ocenia. Pragnąc osobiście przekonać się o stanowisku „Anglików“, Dirksen zwraca się bezpośrednio do Wilsona.

„Zależało mi na tym — pisze — by otrzymać od niego potwierdzenie propozycji, uczynionych Wohltatowi. Wilson uczynił to istotnie tak, że autentyczność projektu nie ulega kwestii. Szczególnie ważne było dla mnie wyjaśnienie związku między propozycjami Wilsona a angielską polityką okrążania. I w tym punkcie Wilson w sposób jeszcze wyraźniejszy niż wobec Wohltata stwierdził, że zawarcie ententy niemiecko-angielskiej uczyni angielską politykę gwarancyjną faktycznie niebyłą. Porozumienie z Niemcami pozwoli Anglii odzyskać swobodę ruchu wobec Polski pod pozorem, że pakt o nieagresji chroni Polskę przed napadami niemiecką. W ten sposób Anglia uwolniłaby się całkowicie od swoich zobowiązań. Wtedy Polska znalazłaby się niejako sam na sam z Niemcami“.

Tak rząd Jego Królewskiej Mości pojmoł swe uroczyste zobowiązania wobec Polski. Kroilo się kosztem Polski nowe Monachium — na jeszcze większą i ohydniejszą młarę. Bo zastanówmy się tylko na chwilę nad sensem brytyjskiej gry w stosunku do Polski. Chamberlain udziela gwarancji, której nie zamierza dotrzymać, uniemożliwia równocześnie porozumienie ze Związkiem Radzieckim, ułatwia Beckowi sabotowanie tego porozumienia, sam zaś rokuje z Hitlerem, by dojść z nim do całkowitego porozumienia i zerwawszy wtedy wiążący sojusz z Polską, pozostawić ją w zupełnej izolacji, „sam na sam z Niemcami“, bez żadnej nadziei i ratunku!

Choć z przyczyn od Chamberlaina całkiem niezależnych do formalnego odwołania gwarancji brytyjskiej nie doszło — w praktyce okazało się, że była ona warta akurat tyle, co nic. Polska znalazła się w obliczu ataku hitlerowskiego całkowicie izolowana i osamotniona. Pan Beck spełnił swe zadanie „instrumentu Berlina“ do końca. Jego sojusz z Anglią dał Hitlerowi wolną rękę do napadu na Polskę.

Nie sądzmy jednak, że tę oszukańczą grę prowa-

Faszyści wojskownicy Mussoliniego wjeżdżają do Addis Abeby... Watykan konsekwentnie błogosławił wszystkim agresywnym poczynieniom duce i fuhrera.



dział tylko konserwatywny rząd pana Chamberlaina. Stanowisko Chamberlaina znajdowało ciche poparcie wśród miarodajnych kół Labour Party. Na zewnątrz panowie labourzyści szermowali głośno antyhitlerowskim frazesem. Ich polscy koledzy z prawicowego kierownictwa PPS gorliwie podtrzymywali te złudzenia. Delegacja CKW PPS, która udała się wtedy z pielgrzymką do Londynu, po powrocie opowiadała cuda o stanowisku Labour Party. Zresztą — i o stanowisku Chamberlaina. Chodziło przecież o uspienie czujności społeczeństwa i odwrócenie jego myśli od zbawczego sojuszu z ZSRR.

A tymczasem za kulisami wodzowie Labour Party, na równi z rządem, prowadzili rokowania z hitlerowcami. Uczestniczył w tych rokowaniach ze strony niemieckiej ambasador von Dirksen, ze strony Labour Party pan Buxton. Mr Buxton pełnił kierownicze, choć wybitnie dyskretne funkcje w sztabie Partii Pracy. Stał on na czele tzw. biura studiów, gdzie rodziły się wielkie plany polityczne partii. Zaliczano go do „szarych eminencji” kierownictwa partyjnego.

Otóż pan Buxton w rozmowie z ambasadorem Dirksenem wyraził pogląd, że „miarodajne koła Niemiec i Wielkiej Brytanii powinny spróbować w drodze tajnych rokowań — z wyłączeniem jakiegokolwiek udziału opinii publicznej — znaleźć wyjście z sytuacji”. Czemu pan Buxton był tak tajemniczy — nie trudno zrozumieć. Opinia brytyjska, a przede wszystkim masy członków Labour Party, miały absolutnie dość monarchijskiej, faszystowskiej, zdradzieckiej, prohitlerowskiej polityki Chamberlainów, Halifaxów i Buxtonów. A pan Buxton właśnie w imieniu Labour Party proponował kontynuowanie tej polityki kosztem Polski. Nic dziwnego, że wołał, by wszystko odbyło się po cichu, przy drzwiach zamkniętych, z „absolutnym wyłączeniem opinii publicznej”, która tak natrętnie deptała już monarchijczykom po piętach. A oto kwintesencja zaleceń labourzystowskiego polityka:

„Wielka Brytania obiecuje szanować w pełni niemiecką strefę interesów w Europie wschodniej i południowo-wschodniej. W wyniku tego Wielka Brytania zrezygnowałaby z gwarancji, udzielonych niektórym państwom w niemieckiej strefie interesów. Dalej. Wielka Brytania obiecuje działać w tym kierunku, aby Francja zerwała sojusz ze Związkiem Radzieckim i wyzrekła się swych powiązań w Europie południowo-wschodniej. Wielka Brytania obiecuje przerwać pertraktacje prowadzone w obecnej chwili ze Związkiem Radzieckim”.

Można powiedzieć, że labourzyści stali się bardziej chamberlainowscy niż sam Chamberlain. Polskę zaś zaliczali wprost do niemieckiej strefy interesów — i kropka. Tak to spółka konserwatystów z labourzystami szykowała Polsce grób, a światu wojnę. Gwarancja dla Polski, sojusz z Polską, rokowania ze Związkiem Radzieckim — wszystko to była nędzna komedia, oszustwo i szalbierstwo, obliczone na zmylenie opinii publicznej i ułatwienie Hitlerowi realizacji jego planów wschodnich.

Równolegle rozwija się akcja polityczna Watykanu.

Watykan od początku traktował Hitlera, a przedtem jeszcze Mussoliniego, jako „narzędzie Opatrzności”, zesłane na ziemię celem zdławienia nienawistnych mu ruchów postępowych i walnościowych, a przede wszystkim celem zorganizowania upragnionej krucjaty antyradzieckiej. Toteż już w roku 1929 zawarty zostaje między Mussolinim a papieżem tzw. układ laterański. Watykan, który od roku 1870 nie utrzymywał stosunków dyplomatycznych z Włochami i nie uznawał władzy króla włoskiego nad Rzymem — z Mussolinim dogadał się bez trudu. A nazajutrz po objęciu władzy przez Hitlera, Watykan podpisuje i z nim konkordat, witany entuzjastycznie przez reakcyjną hierarchię katolicką w Niemczech. Wicekanclerz von Papen, którego podpis figuruje pod konkordatem obok podpisu nuncjusza Pacellego, późniejszego papieża Piusa XII, ujął zwięźle stosunki wzajemne Hitlera z Watykanem („Voelkischer Beobachter” z 14 czerwca 1934 roku):

„Trzecia Rzesza jest pierwszym państwem, które nie tylko uznaje, lecz wciela w życie wzniosłe zasady państwa”.

Lata następne wykazały, na czym to „wcielanie w życie wzniosłych zasad państwa” polegało. Jedno państwo po drugim padało ofiarą agresji faszystowskiej. Watykan konsekwentnie błogosławił Mussoliniego i Hitlera.

Gdy zaś na tron papieski wstąpił kardynał Pacelli — autor konkordatu z Hitlerem — współpraca Watykanu z Berlinem i Rzymem nabrała nowego rozmachu.

Wybór Pacellego spotkał się z najwyższą aprobatą Berlina. Pius XII nie zawiodł pokładanych w nim nadziei i już nazajutrz po objęciu godności zmanifestował swe szczególne dla Trzeciej Rzeszy uczucia. Ambasador niemiecki przy Watykanie, Bergen, tak oto relacjonował w depešy z dnia 5 marca 1938 roku wyjątkowo serdeczne przyjęcie, jakiego doznał ze strony papieża:

„Papież, któremu zastępca Sekretarza Stanu (Monsignore Domenico Tardini — przyp. nasz) na moją prośbę przekazał życzenia Wodza i Kanclerza oraz rząd Rzeszy, przesłał mi wczoraj wieczorem zawiadomienie, że pragnie mnie dziś przyjąć.”

„Podczas audiencji, na której powtórzyłem jeszcze raz życzenia, papież podkreślił, iż jestem p i e r w s z y m ambasadorem, którego przyjmuje. Pragnął bowiem powierzyć mi osobiście przekazanie najserdeczniejszych podziękowań Wodzowi i Kanclerzowi... Papież dodał, iż żywi „płonne pragnienie pokoju między Kościołem a państwem niemieckim”. Jako Sekretarz Stanu nierzadko mi o tym mówił, dziś jednak pragnie to stanowczo potwierdzić jako papież”.

Dokończenie w następnym numerze



Na plażach nad jeziorem Balaton, nazywanym przez Węgrów „węgierskim morzem”, panuje ruch od rana. Wczasowicze rozkoszują się pięknem przyrody.



Sport wioślarski to wielka przyjemność, toteż nikt nie pogardzi przejażdżką w łodzi, zwłaszcza o zachodzie słońca, gdy wody jeziora mienią się różnymi kolorami.

WCZASY NAD BALATONEM



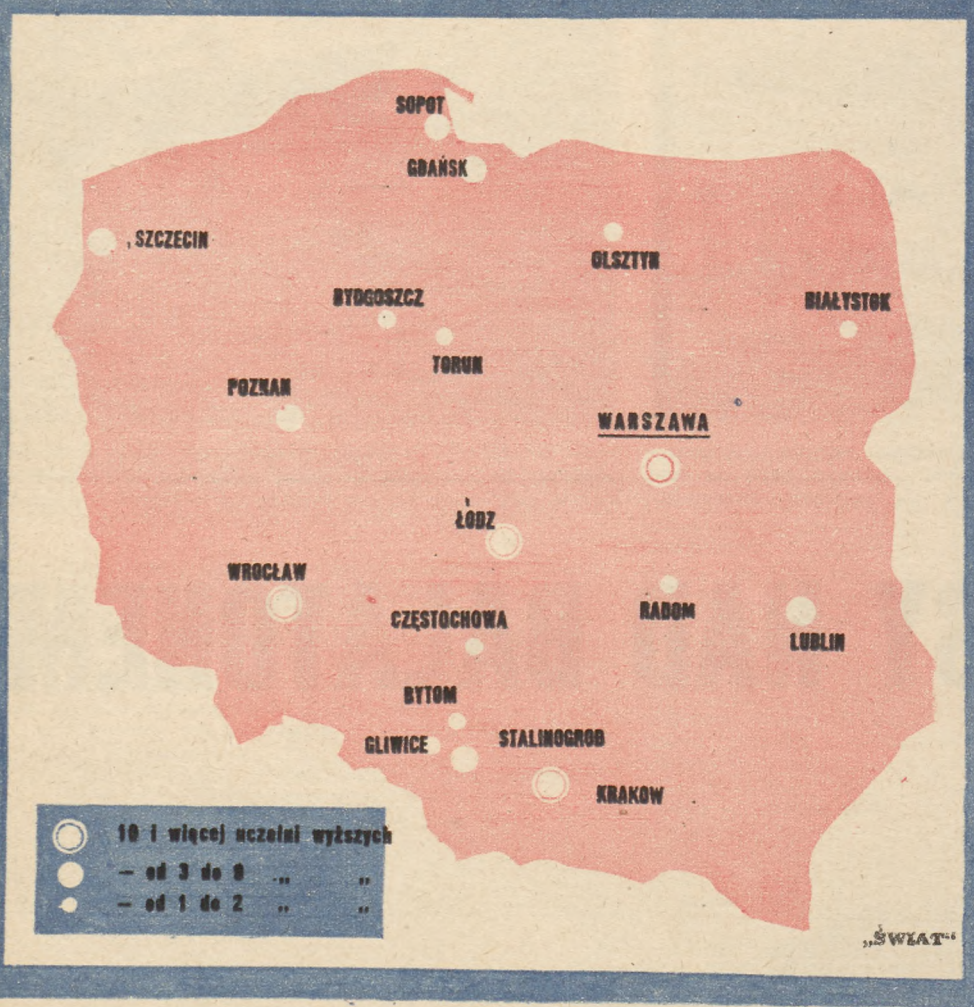
Nad Balatonem zażywali wilegiatury jeszcze... starożytni Rzymianie. Dziś znajduje się tu około 60 miejscowości turystycznych i uzdrowiskowych. Sezon trwa od maja do września. Temperatura wody dochodzi do 28 stopni.

Język węgierski trudny jest do zrozumienia dla cudzoziemca. Chyba jednak i bez znajomości języka można się domyśleć, o czym mówi tych dwoje młodych ludzi.

A wieczorem dancing. Tancerze pochodzą z różnych krajów. Niedługo węgierscy wczasowicze otrzymają liczne karty z pozdrowieniami w różnych językach.



UCZELNIE WYŻSZE W POLSCE



Nasze uczelnie wzbogacają się o nowe gmachy. Całość nakładów inwestycyjnych na rozbudowę szkolnictwa wyższego i nauki wyniesie w Planie Sześcioletnim 4.218 mln. złotych. Na zdjęciu: fragment odbudowanego budynku Uniwersytetu Wrocławskiego



OTWARTE WROTA

ROZPOCZĘCIE nowego roku akademickiego zbiega się z obradami III Światowego Kongresu Studentów.

Gospodarzami Kongresu są studenci polscy. Mogą oni być dumni z rozwoju naszego szkolnictwa wyższego, z opieki, jaką Rząd Ludowy otacza uczelnie akademickie.

Oto liczby, które mówią same za siebie: Na 85 wyższych uczelniach studiuje ponad 135 tys. słuchaczy. Przed 1939 r. studiowało na 19 wyższych uczelniach zaledwie 48 tys. młodzieży.

W br. do egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie przystąpiło 40 tys. kandydatów.

Przed wojną olbrzymią większość studiujących stanowiła młodzież wywodząca się z klas posiadających. Dzieci robotników było na wyższych uczelniach przed 1939 r. 8,9%, chłopów pracujących — 8%. Obecnie młodzież pochodzenia robotniczego stanowi 34,1%, chłopskiego 25% ogółu studiujących.

Liczba stypendystów przed wojną nie przekraczała cyfry 5,4% ogółu studentów, obecnie wynosi 73,8%.

Ilość Domów Akademickich wzrosła z 22, w których mieszkało 6 tys. słuchaczy szkół

wyższych (rok 1938) — do 219, zamieszkałych przez 34 tys. studentów. Na początku br. akademickiego zostaną oddane do użytku nowe Domy Akademickie, w których zamieszka ponad 6 tys. młodzieży.

Państwo burżuazyjne nie troszczyło się o zapewnienie wypoczynku studiującym. Władza ludowa zapewniła młodzieży odpoczynek po nauce. Studenckie Domy Wypoczynkowe znajdują się w najpiękniejszych miejscowościach kraju: w Zakopanem, Międzyzdrojach, Głucholazach itd. Liczba osób korzystających ze studenckich czasów stale wzrasta. W rb. wynosiła ponad 12 tys.

Przed 1939 r. ośrodki robotnicze — Łódź, Śląsk, Białystok — pozbawione były wyższych uczelni. Obecnie w Łodzi istnieje ich 10, w Białymstoku — Akademia Medyczna, na Górnym Śląsku — Politechnika, Wyższa Szkoła Ekonomiczna, Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Akademia Medyczna i wiele innych.

Na Ziemiach Zachodnich powstały 23 wyższe uczelnie, w których studiuje 10-krotnie więcej młodzieży niż w okresie panowania niemieckiego.

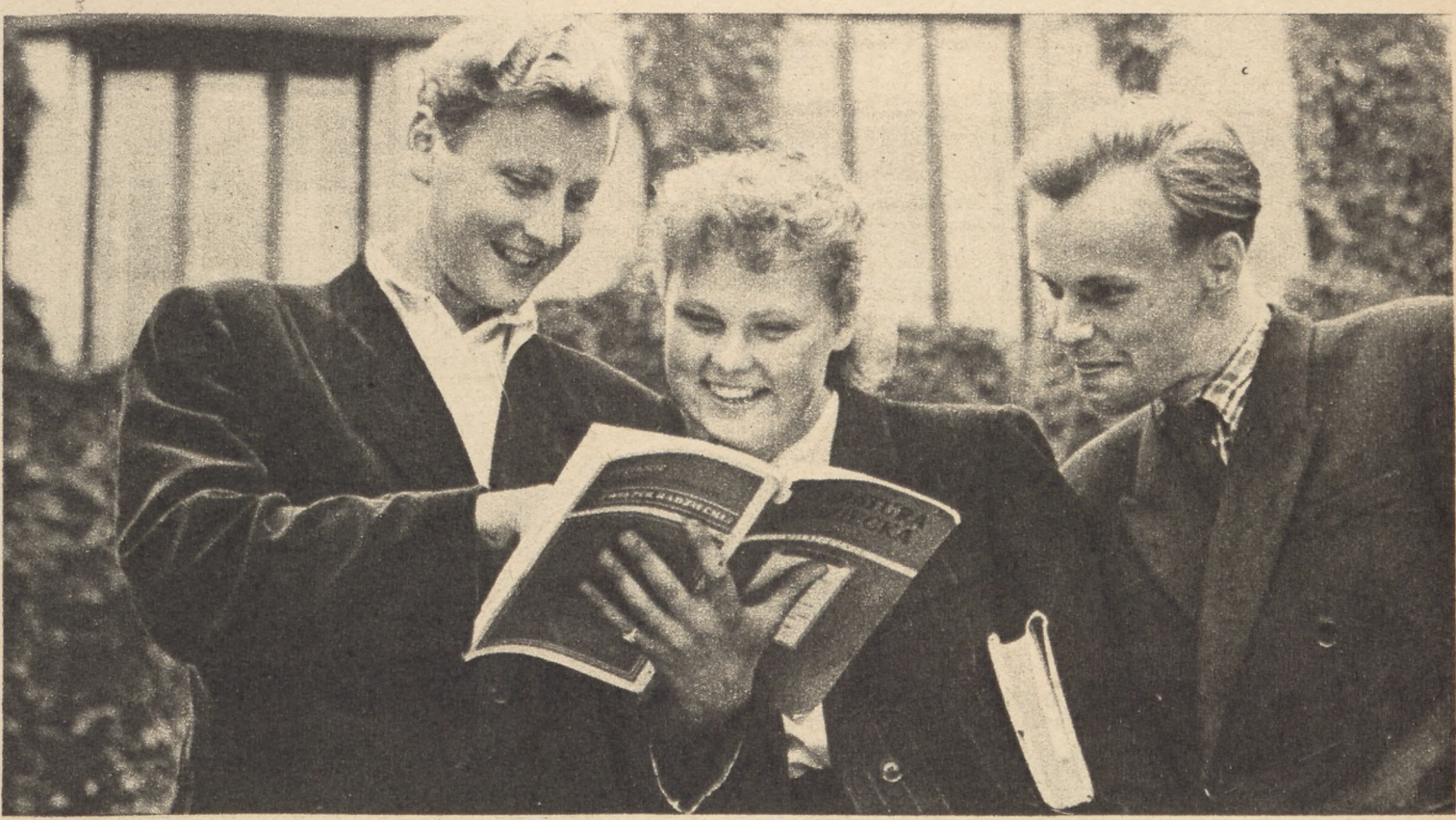
Przed wojną na 100 tys. kobiet przypadało 10 studentek, obecnie 152. Na 100 tys.

kobiet zaledwie 2 studiowały na uczelniach o kierunkach technicznych, obecnie 37.

W nowym roku akademickim otwarte zostaną dwie nowe wyższe uczelnie: Wieczorowa Szkoła Inżynierska w Lublinie i Wyższa Szkoła Rolnicza w Krakowie. Na wielu uczelniach powstaną nowe wydziały, jak np. na Politechnice Wrocławskiej Wydział Mechanizacji Rolnictwa, na Politechnice Warszawskiej Wydział Samochodów i Ciągników oraz Wydział Sprzętu Mechanicznego, w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie — Wydział Ekonomiki Rolnictwa, na Uniwersytecie Warszawskim — Wydział Dziennikarski i Wydział Ekonomii Politycznej.

Ogółem w Planie 6-letnim uczelnie wyższe dostarczą krajowi: 60 tys. inżynierów, ponad 8 tys. agronomów, 20 tys. absolwentów wyższych szkół ekonomicznych, tysiące lekarzy i prawników.

W roku 1955 ilość miejsc w Domach Akademickich wynosić będzie 51 tys., dzięki czemu prawie połowa studiującej młodzieży (około 46%) będzie miała tam zapewnione mieszkania. Całość nakładów inwestycyjnych na rozbudowę szkolnictwa wyższego i nauki wyniesie w Planie 6-letnim 4 miliardy 218 milionów zł.



Dobrze jest czasem i przed wejściem do Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego podyskutować nad nową powieścią radziecką, zamieszczoną w miesięczniku „Literatura Radziecka”. Młodzież polska żywo interesuje się literaturą rosyjską i współczesną literaturą radziecką. Dowodem tego są stale rosnące nakłady książek klasyków rosyjskich, ukraińskich i współczesnych pisarzy radzieckich.

Dobre mamy warunki do nauki. 73,8% spośród studentów otrzymuje stypendia, 34.000 mieszka w Domach Akademickich, a ponad 12 tysięcy w roku bieżącym spędziło czas w najpiękniejszych miejscowościach kraju, jak np. w Zakopanem, Międzyzdrojach.



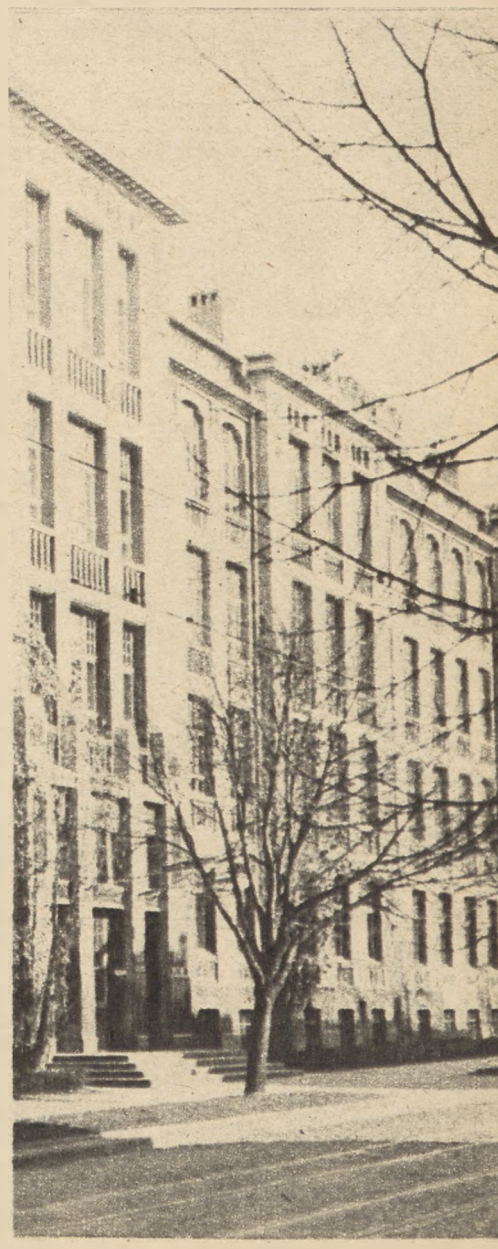
Studenci Uniwersytetu Warszawskiego podczas wykładu. Dobrze wystuchany wykład — mniej pracy przed egzaminem.



W pięknym starym parku znajduje się Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Lublin posiada dotąd trzy wyższe uczelnie: dwa uniwersytety i Akademię Medyczną, z nowym rokiem akademickim otrzyma jeszcze Wieczorową Szkołę Inżynierską.



Pięknie wygląda Uniwersytet Łódzki. Przed 1939 rokiem Łódź nie posiadała żadnej wyższej uczelni, obecnie ma 10.



Studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie często korzystają ze swojej Biblioteki. Biblioteka U. J. posiada jeden z największych księgozbiorów w Polsce.



Uniwersytet Poznański jest jedną z kuli socjalistycznej inteligencji. Posiada on następujące wydziały: Filologiczny, Filozoficzno-Historyczny. Prawa, Matematyki, Fizyki i Chemii, Biologii i Nauki o Ziemi. Uniwersytet w Poznaniu dostarczy wysoko kwalifikowanych pracowników w różnych dziedzinach Wielkopolsce i terenach sąsiednich.



Na repetytorium z chemii można powtórzyć przerobiony materiał. Wielu słuchaczy ze Studium Przygotowawczego w Toruniu wybiera się na chemię na Uniwersytet.



Akademie Sztuk Plastycznych istnieją w Warszawie, Krakowie i Sopocie. Akademię kształcą artystów-plastyków: grafików, rzeźbiarzy, malarzy oraz dekoratorów.

MIŃSK PRZEMYSŁOWY

W. PONOMARIOW

Zdjęcia: M. SAWIN

Reportaż tygodnika „Ogoniok” dla „Świata”

COFNIJMY się na chwilę myślą o niewiele — zaledwie czterdzieści lat. Żyją jeszcze ludzie pamiętający te czasy. Siedemdziesięcioletni poeta białoruski, Jakub Kołas, tak oto opisuje przemysł w przedrewolucyjnym Mińsku: „Cienkie piwo, płyty chodnikowe i woda sodowa — to chyba wszystko, co produkowano w Mińsku owego czasu”.

I rzeczywiście: piwo, świece, воск, dziegieć, maź do osi wozów, płyty chodnikowe i kiepsko wygarbowane skóry — to już chyba pełna lista towarów, wytwarzanych w gubernialnym mieście Mińsku. Nawet warsztat, w którym remontowano dorożki, uchodził tu za poważne przedsiębiorstwo...

Nowy, przemysłowy Mińsk wyrósł w latach władzy radzieckiej. Wojna jednak obróciła miasto w perzynę. Z trzystu trzydziestu dwóch zakładów przemysłowych ocalało zaledwie dziewiętnaście. Straty, które poniosło miasto, oceniane były na sześć miliardów rubli.

Tak było niespełna dziesięć lat temu. Dziś Mińsk wysłał swą produkcję przemysłową do wszystkich zakątków Kraju Rad.

...Na placu Dworcowym, przy dwóch bliźniaczych gmachach wysokościowych, stanowiących swoiste wrota miasta — można wsiąść do autobusu kursującego na trasie „Dworzec — Zakłady Samochodowe”. Po dwudziestu minu-

tach znajdziemy się w dzielnicy, w której skupiły się zakłady traktorowe i samochodowe stolicy Białorusi.

W roku 1944 szumiały tu sosny, w trzy lata później ogromne hale fabryczne opuściło pięć pierwszych ciężarówek. Zakłady — gigant stopniowo nabierały rozpędu — wkrótce zaczęły produkować największe w Związku Radzieckim, 25-tonowe samochody-wywrotki.

Główną jednak częścią produkcji zakładów są stale udoskonalane ciężarówki sześciotonowe. Spływają one z taśm montażowych nieprzerwanym potokiem.

Zakłady traktorowe w Mińsku znane są powszechnie dzięki produkowanym tu ciągnikom traktorowym „KT-12”. Obecnie kolektyw przygotowuje się do produkcji traktora kołowego, nazwanego imieniem republiki „Białoruś”.

Mińska fabryka motocykli powstała również w latach powojennych. Z początku produkowano tu jedynie rowery, które zresztą zdobyły sobie zasłużoną sławę w całym Związku Radzieckim. Niedawno rozpoczęto w zakładzie wyrób motocykli. W ciągu ostatnich sześciu lat ogólna produkcja fabryki wzrosła osiemnastokrotnie!

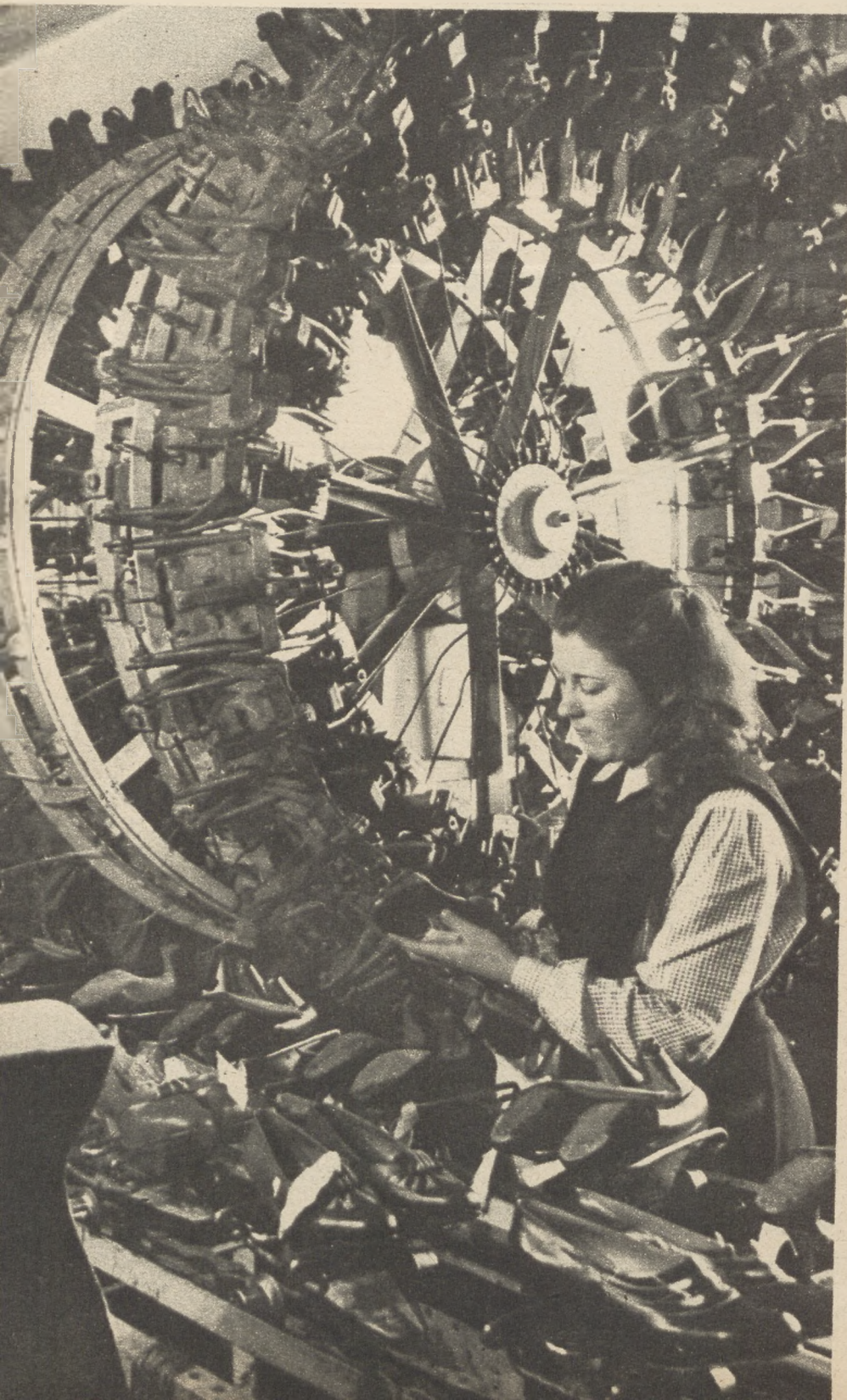
Wielkie zakłady budowy maszyn im. Woroszyłowa istniały już przed wojną. Ale wystarczy przejść się po wzniesionych ostatnio oddziałach, wyposażonych w najnowocześniejsze urządzenia techniczne — by uznać zakłady za nową budowlę. Obrabiarki produkowano tu i dawniej. Ale wydają się nam one zabawkami, gdy dziś patrzymy na potężne maszyny, zbudowane z uwzględnieniem najnowocześniejszych osiągnięć radzieckiej techniki.

...Jesteśmy w innej dzielnicy, w północno-zachodniej części miasta. Długie, jasne bloki — To Miński Kombinat Węlniany. Oto oddział kontroli w wykończalni. Tędy musi przejść każdy metr wyprodukowanej w kombinacie materii; cała produkcja przewija się powoli przez maszyny, oświetlone specjalnymi lampami światła dziennego.

Przed naszymi oczami płyną materiały gładkie, kręciaste, rozmaitych odcieni i wzorów. Czujne oczy kontrolerek i specjalne aparaty wykrywają natychmiast każdy brak lub uszkodzenie. Surowa jest ostatnia kontrola gotowej produkcji...

Najbliższym sąsiadem Kombinatów jest fabryka obuwia im. Kaganowicza. W roku ubiegłym produkowała ona

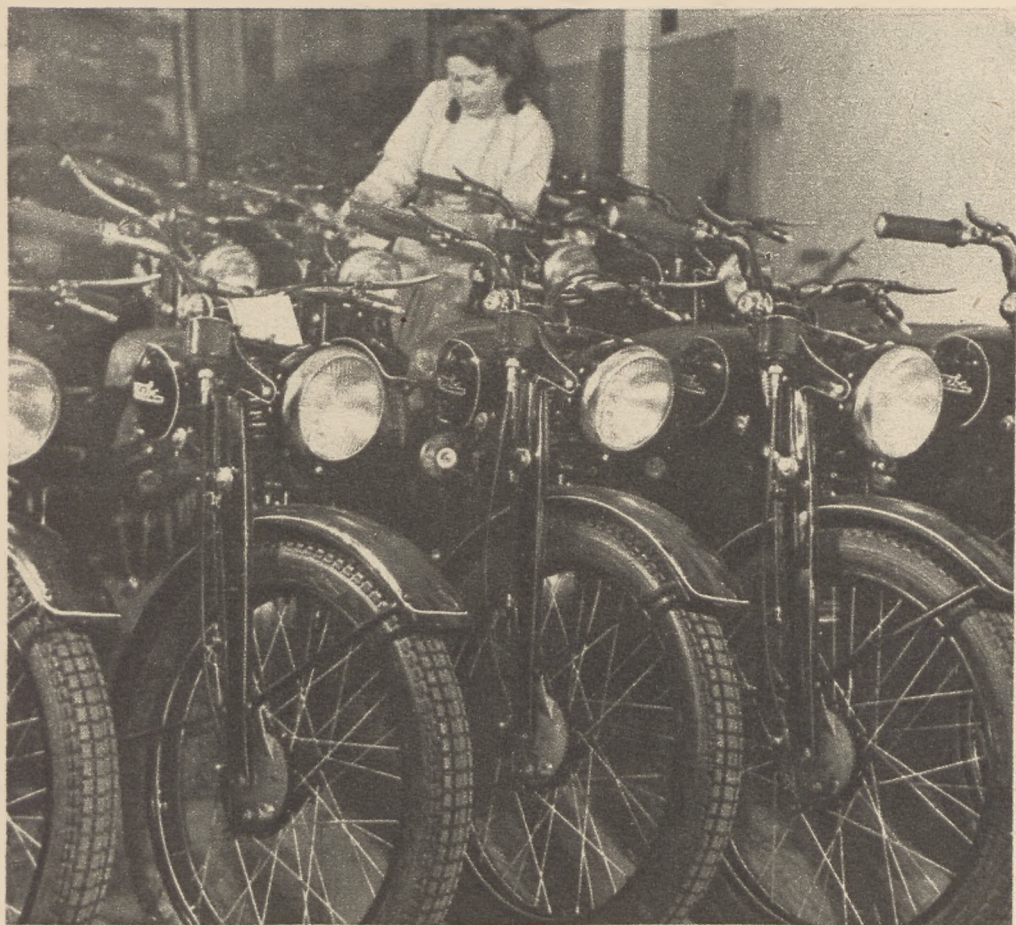
Przy jednej z nowoczesnych pras karuzelowych Mińskiej Fabryki Obuwia im. Kaganowicza pracuje czołowa przodownica tego Zakładu — Wiera Daszkiewicz.



Montaż ciężkiej obrabiarki w zakładach budowy maszyn im. Woroszyłowa.



W hali doświadczalnej mińskich zakładów budowy traktorów wypróbowuje się właśnie



Motocykle typu „Moskwa” produkowane są w Mińsku, w fabryce, która w ciągu ostatnich sześciu lat osiemnastokrotnie zwiększyła swą ogólną produkcję.

trzydzieści siedem różnych modeli obu-
wia. Ostatnio puszczono na taśmę no-
wy model zimowych bucików damskich
z futrzaną podkładką.

Mińska fabryka radiotechniczna — to
jedno z najmłodszych przedsiębiorstw
przemysłowych w mieście. Obecnie wy-
tworzą adaptery „Mińsk”, ale w naj-
bliższym czasie przystąpi do produkcji
radioodbiorników najwyższej klasy oraz
aparatów telewizyjnych.

Fabryka „Udarnik”. Jeszcze przed
dwoma laty znana była jedynie w re-

public: produkowała wagi. Teraz wy-
tworzą te właśnie wysokowydajne ko-
parki do kanałów konstrukcji prof. M.
E. Macepuro, które zdobyły sobie za-
służoną sławę nie tylko u melioratorów
Białorusi, ale i na Syberii, w Gruzji, na
Sachalinie, w Buriat-Mongolii.

* * *

Wycieczka nasza mogłaby trwać jesz-
cze znacznie dłużej. Nic dziwnego: ogólna
produkcja przemysłowa Mińska jest
dotychczas trzy i pół razy większa niż w
przedwojennym roku 1940.



nowe traktory marki „Białoruś”. Na lewo — popularny w Związku Radzieckim ciągnik
traktorowy „KT-12”, produkowany dotąd seryjnie właśnie w zakładach mińskich.

LETNIA WYMIANA TEATRÓW

AUGUST GRODZICKI

KIEDY w miesiącach
letnich spojrzymy na
umieszczony w gase-
tach program imprez
rozrywkowych i widowisk,
zobaczymy, że rubryka:
„Repertuar teatrów” bardzo
kmalaba. No cóż? I teatrom
należy się urlop. Publicz-
ność zresztą — ta, która po-
została w mieście — już nie
tak skwapliwie garnie się
do teatrów. Słońce, upały —
lepiej czas spędzić w parku,
na spacerze czy wycieczce.
Teatrów na wolnym po-
wietrzu w Warszawie nie-
stety nie ma, a i ten, który
istnieje w Łazienkach, stoi
nie wiadomo dlaczego nie
wyzyskany.

Ale, kiedy nadarzy się okazja zobaczenia
czegoś nowego i wartościowego, tłumy dobi-
ją się do kas teatralnych bez względu na
temperaturę panującą w sali i na dworze.
Ten zdrowy głód dobrego teatru wart jest
zaspokojenia. W miesiącach letnich nadarza
się do tego bardzo dobra sposobność. Sam
pomysł zresztą nie jest nowy — tym pewniej
można go zastosować. W Moskwie, w lipcu
i sierpniu, a nawet już w czerwcu, prawie
wszystkie stałe teatry nie grają, rozjeżdżają
się po kraju, a ich miejsce zajmują przyby-
wające w gościnę do stolicy zespoły z innych
miejscowości, z Leningradu czy Swierdłow-
ska, z Kijowa czy Nowosybiraka.

Czy podobnego systemu nie można by za-
stosować i u nas? Chyba tak. Tegoroczne na-
grody państwowe wykazały, że mamy wybit-
ne osiągnięcia teatralne w wielu miastach
właśnie poza Warszawą. Jest to objaw ko-
rzystny, który świadczy, że poziom naszych
teatrów podnosi się w całej Polsce. Wśród
nagrodzonych przedstawień z pewnością jest
kilka, które Warszawa ujrzałaby z przyjem-
nością i które powinny się tu ukazać na sce-
nie. Na przykład: nie zanosi się na to, aby w
najbliższym czasie wystawione w stolicy
„Plody edukacji” Tolstoja, warto więc spro-
wadzić do niej z tym przedstawieniem Teatr
im. Słowackiego z Krakowa. W ubiegłym se-
zonie Warszawa nie ujrzała — wstyd powie-
dzieć! — ani jednego dzieła z naszego wiel-
kiego repertuaru romantycznego; można by
ten brak powetować zaproszeniem stalinogrodzkiego „Mazepę”. A wrocławski „Bieg
do Fragała” posiada tak duże wartości arty-
styczne i polityczne, że powinno się je wy-
korzystać i pokazać jak najrychlej publicz-
ności warszawskiej.

Co w zamian za to stolica mogłaby dać mia-
stom prowincjonalnym? Można by zawieźć
do nich np. „Domek z kart” (nawet tam,
gdzie tę sztukę będzie się w przyszłości gra-
ło), „Zemstę” (nawet tam, gdzie się ją nie-
dawno grało), „Wujaszka Wanię...” Co jesz-
cze? Co prawda nie bardzo jest w czym wy-
bierać. Ubiegły sezon nie przyniósł w War-
szawie wielu wybitnych osiągnięć teatral-
nych, takich, które by w pełni, bez więk-
szych zastrzeżeń, mogły godnie reprezento-
wać stolicę. Ale miejmy nadzieję, że w roku
przyszłym będzie lepiej, a przecież projekt
niniejszy byłby do zrealizowania dopiero w
przyszłości; w bieżącym sezonie jest już na
to za późno.

Taka wymiana teatralna miałaby ogromne
znaczenie zarówno dla zespołów, jak i dla
publiczności. Dla teatrów byłoby to zaszczyt-
ne wyróżnienie, a kontakt z nowym środo-



G. Holoubek i A. Kwiatkowski
w „Mazepie” J. Słowackiego. Te-
atr im. Wyspiańskiego w Stali-
nogradzie. (Fot. B. Stapiński)

wiskiem z pewnością nie
pozostałby bez pożyteczne-
go wpływu. Dla publiczności
zobaczenie nowych sztuk
i aktorów byłoby ożywczym
przeżyciem kształcącym i
wychowującym. Zresztą te-
atry terenowe mogłyby
przyjeżdżać nie z jednym
przedstawieniem, ale z kil-
koma najlepszymi z ostat-
niego sezonu. W ten sposób
stolica miałaby co roku
przegląd „produkcji” inne-
go teatru, co również było-
by nie bez głębszego zna-
czenia.

Z góry można przewidzieć,
że nasuną się tu od razu
tzw. trudności techniczne.

Zapewne nie obejdzie się bez nich, ale wydaje
się, że są one do przewyciężenia. Przypuść-
my, że dwa lub trzy teatry warszawskie przez
dwa miesiące: lipiec i sierpień — nie grają
w stolicy, miesiąc spędzają na urlopie, a mie-
siąc na występach w innym mieście. Na ich
miejsce przyjeżdżają tamtejsze zespoły. Ra-
chunek w ten sposób jest wyrównany. Możli-
we, że to zrobić jeszcze inaczej. Mogą wymieniać
się tylko części zespołów, grające w wybra-
nych przedstawieniach. Mogą odwiedzać się
z sobą nawzajem teatry terenowe, np. Stali-
nogród z Krakowem czy Kraków z Wrocław-
kiem, czy jeszcze inaczej. Możliwość jest
wiele, trzeba by było wybrać z nich najko-
rzystniejsze.

W ciągu ubiegłych lat, zwłaszcza w okresie
festiwalów teatralnych, mieliśmy w Warsza-
wie wizyty innych teatrów. Ale trudny i koszt-
ny wizyt były niewspółmierne z efektem:
jedno lub dwa przedstawienia dla wybranych
widzów nie spełniły zupełnie swego zadania.
Słusznie tę formę występów ostatnio zarzu-
cono. Co innego jednak gościna, trwająca
przez miesiąc, w ciągu którego szerokie rze-
szce publiczności mogą się przewinąć przez
teatr. A jeśli idzie o powodzenie — to co do
tego można być najzupełniej spokojnym.

Poddając tę myśl pod rozagę Centralne-
mu Zarządowi Teatrów sądzimy, że godna
jest ona realizacji. Gdyby tak przewidzieć to
już w planach na rok przyszły? W każdym
razie warto się nad tym zastanowić. A może
wypowiedzieliby się na ten temat ludzie tea-
tru i ci, którzy najbardziej są w tym zaintere-
sowani — widzowie!

„Bieg do Fragała” Juliana Strykowski.
Teatr Polski we Wrocławiu. (Fot. Z. Moser)



ATAK NA FILM WŁOSKI

Korespondencja własna „Świata”

Rzym, w sierpniu 1953

KIEDY w styczniu 1947 De Gasperi prowadził w Waszyngtonie rozmowy z kierownikami polityki amerykańskiej, przygotowując podporządkowanie Włoch Stanom Zjednoczonym — jednym z punktów porządku dziennego był film włoski. Realizm reżyserów włoskich był wysoce niepożądany. Kontrahenci szybko się porozumieli: „filmowi włoskiemu należy założyć kaganiec”.

Po oszukańczym zwycięstwie wyborczym w kwietniu 1948 r. chadecja ruszyła do ataku. Rozpoczęła się powolna, ale stała i niesłabnąca penetracja włoskiego rynku filmowego przez firmy amerykańskie, finansowanie przez Amerykanów instytucji, których zadaniem jest, pod płaszczykiem takiej czy innej działalności „kulturalnej”, organizowanie przedsięwzięć kinematograficznych. Powróciły dawne postacie, chwilowo usunięte w cień po upadku faszyzmu.

Po wojnie wiele przedsięwzięć włoskich „wzięło się za interes filmowy”. Były to imprezy rentowne, a rentowność ta zwiększała się coraz to bardziej, w miarę wzrostu powodzenia filmu włoskiego. Takie przedsięwzięcie stworzyli m. in. bracia De Laurentis. Starszy z nich, Dino, zaproszony został do Stanów Zjednoczonych. Po powrocie De Laurentis rozbudował za pieniądze amerykańskie założoną przez siebie wytwórnię Lux-Film. Wkrótce firma, która zakwitła dzięki sukcesom realistów, zaczęła stawiać twardo swoje warunki.

Równocześnie pojawili się dawni „działacze”. W Prezydium Rady Ministrów dyktatorskie stanowisko w zakresie spraw filmowych zajmuje znowu przedwojenny faszystowski potentat kinematografii, Gualino. A inny magnat z tej samej branży, Scalera, kieruje wielką wytwórnią filmową Universal-Film. Universal-Film jest tubą Watykanu i chadecji. Z jej atelier wychodzą wszystkie antykomunistyczne filmy propagandowe, tam preparowane są wszystkie antyradzieckie fałszy.

Bez zgody Gualino mowy nie ma o wypuszczeniu jakiegokolwiek filmu na ekrany włoskie. Jego nożyce tną bez litości wszystko, co nie odpowiada wymaganiom nowego szefa: chadecji. Po wrót Scalera na arenę publiczną (Scale-



Niektórzy filmowcy padli ofiarą presji amerykańskich monopolów. Między in. reżyser De Sica (pośrodku) przeszedł na kompromis z „ideologią” amerykańską.

ra był przyjacielem Mussoliniego) nie będzie nikogo dziwił w chwili, kiedy wolno bezkarnie przemawiać na wiecach zbrodniarzowi wojennemu, mordercy partyzantów włoskich, ex-marszałkowi Graziani.

Zrozumiałe, że w tych warunkach sytuacja reżyserów jest specjalnie trudna. Aby ująć dyktandu producenta kilku reżyserów zdecydowało się na własną produkcję filmów. Tak robi De Sica, Visconti, Rossellini, Camerini. Ale nie zawsze fundusze, którymi dysponuje reżyser, są wystarczające, by pokryć wysokie koszty produkcji; często się zdarza, że w tego rodzaju produkcji współuczestniczy jakaś wielka firma. I to jest właśnie najbardziej perfidny sposób penetracji amerykańskiej.

Swego czasu firma wydawnicza Rizzoli w Mediolanie otrzymała od administracji planu Marshalla pożyczkę w wysokości 100 tysięcy dolarów. Pożyczka ta posłużyła do wydania szeregu „pamiętników” takich „zaskuszonych” zbrodniarzy, jak Graziani, Rommel, Guderian, przeróżnych generałów hitlerowskich i faszystowskich. W krótkim czasie Rizzoli stał się jednym z dyktatorów włoskiego rynku wydawniczego. Wtedy to zaczął „współpracować” przy produkcji filmów. Rzecz jasna, współpraca taka polega na stawianiu warunków, ograniczających swobodę wypowiedzi reżysera. Dlatego też popularny reżyser Came-

rini, który uzyskał poparcie Rizzoli, zmuszony jest obecnie produkować filmy historyczne, unikając wypowiedziania się na tematy współczesne.

Ta sama sytuacja istnieje w wypadku Rosseliniego. Któż nie pamięta filmu „Rzym — miasto otwarte”? A przecież ten sam Rossellini jest autorem marnego filmu o świętym Franciszku z Asyżu i równie słabego „Stromboli”. Przyczyny tego szukać należy we współprodukcji filmów Rosseliniego, Universal-Film. Doskonały reżyser włoski poddał się dyktandowi, które ze sztuka

nią niewiele ma wspólnego.

A oto kilka innych przykładów nacisku amerykańskiego na włoskie koła filmowe. Produkcja jednego filmu we Włoszech kosztuje około 50-60 milionów lirów. Amerykanie sprzedają swoje filmy po 5 — 30.000 dolarów, co odpowiada sumie 3 — 18 milionów lirów. Wobec takiej polityki dyskryminacyjnej miała miejsce we Włoszech gwałtowna kampania, żądająca położenia kresu temu zalewowi amerykańskiej produkcji. Wówczas to rząd chadecki oświadczył, że nałoży na filmy zagraniczne podatek od dubbingu i że takie posunięcie zahamuje napływ filmów obcych. Obłuda tego zarządzenia jest oczywista, jeśli się zważy, że razem z podatkiem (około 7 i pół miliona lirów) cena filmu amerykańskiego jest ciągle jeszcze niższa, aniżeli koszt produkcji filmu włoskiego. Dlatego zalew ekranów włoskich przez filmy amerykańskie wzrastał się z roku na rok: 600 filmów amerykańskich importowano do Włoch w roku 1948, około 750 — w 1950 i ponad osiemset w 1952. A tymczasem chłonność rynku włoskiego wynosi jedynie 300 filmów rocznie — włoskich i zagranicznych. Wszystkie więc wrota są szeroko otwarte dla szmery z Hollywood, a wszystkie możliwe trudności spiętrzone na drodze do upowszechnienia filmu radzieckiego i krajów demokracji ludowej oraz własnej, włoskiej produkcji!

Obok Gualino i Scalera także inni reprezentanci wielkiego kapitału działają na rzecz Stanów Zjednoczonych i na szkodę interesów narodowych Włoch. Jednym z nich jest Sandro Pallavicini, dyrektor „La Settimana Incom”. Instytucja ta to włoska kronika filmowa; powstała ona na gruzach faszystowskiego instytutu Luce. Pallavicini, jak wielu innych, powędrował do Nowego Jorku, Waszyngtonu i Hollywood, a po powrocie zza Atlantyku przekształcił swoją Incom, uprzednio mogącą poszczycić się dość dużym obiektywizmem, w narzędzie najbardziej zajadłej propagandy antydemokratycznej i antypostępowej.

Pozostaje jeszcze jedna dziedzina: znany już powszechnie na całym świecie coroczny festiwal filmowy w Wenecji. Ostatnie festiwale nacechowane były niespotykaną stronniczością na rzecz filmu amerykańskiego. Ten sam festiwal, który był kiedyś poważną manifestacją międzynarodową, między innymi dzięki sukcesom powojennego filmu włoskiego, jest obecnie widownią brutalnej dyskryminacji wobec tegoż postępowego filmu narodowego. Byłoby to trudne do zrozumienia, gdyby się nie wiedziało, kim jest kierownik i nieomal dyktator całego festiwalu — doktor Petrucci. W latach faszystowskich Petrucci był jednym z redaktorów rzymskiego dziennika „Il Tevere”, skrajnie rasistowskiego szmatława. W 1943 r. wydał on książkę, która miała być apologią imperialnych wypraw faszystów. Książka nosiła tytuł „Powrót do kolonii”. Czy można się dziwić, że taki człowiek jest dzisiaj wiernym sługą amerykańskim w Wenecji?

Tak oto wszelkimi sposobami wypiera się elementy demokratyczne z filmu włoskiego oddając go pod dyktando amerykańskich kapitalistów i ich miejscowych sługusów. Ostatnie wiadomości potwierdzają od dawna już żywioną obawę, że rząd chadecki dąży do likwidacji Centrum Eksperymentalnego Kinematografii, instytucji, z których wyszli czołowi twórcy włoskiej kinematografii.

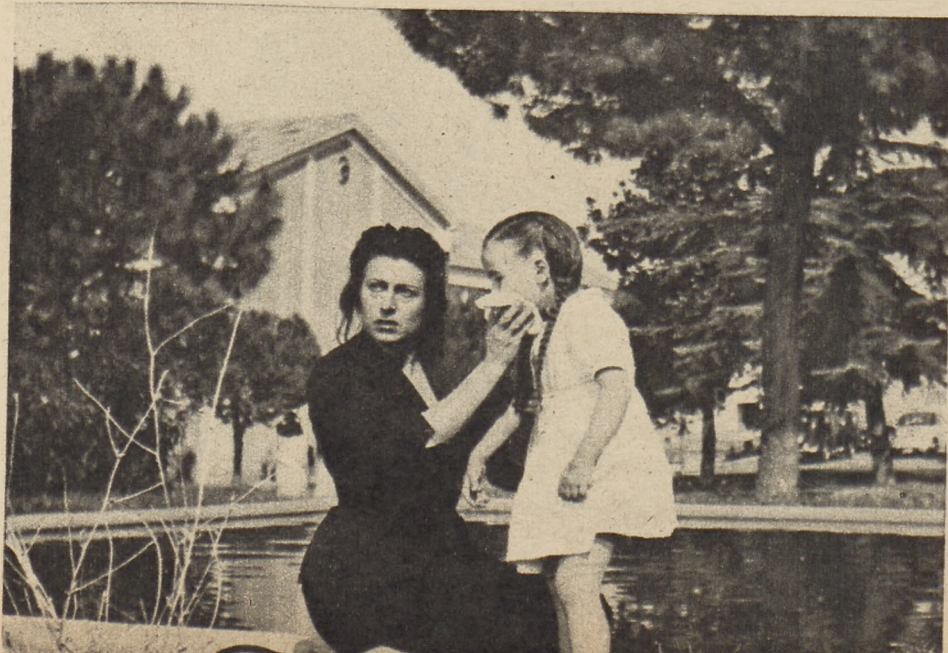
W oparciu o cały naród twórcy filmu włoskiego, którzy tak odważnie stanęli u boku ludu, znajdują siły, by oprzeć się inwazji pogrobowców faszystów i hollywoodzkiej tandety.

RINO DAL SASSO

Największym powodzeniem cieszą się we Włoszech krajowe filmy realistyczne. Scena z filmu „Droga nadziei”, będącego dużym osiągnięciem kinematografii włoskiej.



Na naszych ekranach wyświetlany jest obecnie nowy włoski film realistyczny pt. „Najpiękniejsza”. Rolę główną w tym filmie gra znakomita aktorka Anna Magnani.





Giuseppe De Santis po raz wtóry przybył w góry Ciociaria, aby nakręcić film z życia chłopów. Pierwszym jego filmem o góralach był „Nie ma pokoju pod oliwkami”.

ROZMOWA Z GIUSEPPE DE SANTIS

Rzym, w sierpniu

W GÓRACH Ciociaria, dokąd przybyłem, aby spotkać się z reżyserem filmowym Giuseppe De Santis, owiewa mnie ciepłe powietrze. Krajobraz jest tutaj biały, domy wypływające od słońca przypominają chaty Arabów. Tu chłopci obrabiają w pocie czoła kamieniste pola, a skóra ich smaży się na słońcu. Jest to kraj pasterzy, tych pasterzy, którzy każdego roku wędrują w odległe strony prowadząc stada wśród okrzyków, wśród naszczekiwania olbrzymich psów, wśród obłoków kurzu. Reżyser Giuseppe De Santis przybył do jednej z takich wsi, by przygotować scenariusz do swego przyszłego filmu.

Pytałem o „reżysera De Santis”. Dziwnie brzmiało słowo „reżyser” wypowiedziane wobec ludzi, których prawie jeszcze nie tknęła cywilizacja. Jednakże wszyscy potrafili mi wskazać ulicę. Wszyscy bowiem znają De Santisa: urodził się tutaj, w Fondi, i do tego samego miejsca wrócił, aby swoim filmem złożyć hołd tej wsi. Już przedtem w pobliższej miejscowości Sperlonga nakręcił parę scen swego filmu „Nie ma pokoju pod oliwkami”, który uzyskał nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu w Karłowych Varach (1952). Była to historia pasterza, któremu bogaty chłop zabiera narzeczoną i stado owiec, wykorzystując swój „autorytet”, majątek i ochronę, jaką daje mu obowiązujące prawo. Film ten symbolizuje walkę, którą włoscy

biedacy prowadzą przeciwko feudalnemu wyzyskowi.

Gdy odnalazłem wreszcie De Santisa, dyskutował on z innymi scenarzystami nad najbliższym filmem. „Będą to dzieje miłości, miłości między dwógiem młodych biedaków, którzy nie mogą się pobrać z powodu braku pieniędzy”.

— Przewidujesz jakieś trudności w realizacji tego filmu? — pytam.

— Niestety, nie. Mówię niestety, co oznacza, że mój nowy film został oceniony, zanim narodził się jeszcze w moim umyśle. Znasz obecną sytuację naszego filmu. Każdy producent, nawet najuczciwszy i najodważniejszy, nie ma już dość siły, aby pozwolić reżyserowi wypowiedzieć się swobodnie, zgodnie z zasadami humanitaryzmu i sztuki. W ten sposób film rodzi się już zdeformowany, jak gdyby skrupowany ołowianymi pętami. Mogłbym tu wskazać kilka innych filmów, które pomimo tej „autocenzury” zostały później zaatakowane. Chciano uciąć im także tę resztkę skrzydeł, która została.

— Czy masz jakieś osobiste doświadczenia w tych sprawach?

— Oczywiście. Przypomnij sobie, co się wydarzyło, kiedy zrealizowałem film „Rzym, godzina 11”. Oparłem się tam na prostym wydarzeniu: pewnego dnia w jednym z dzienników ukazało się ogłoszenie: „Poszukuje się sekretarki o małych wymaganiach. Proszę stawić się o godzinie jedenastej w miejscu X”.

O godzinie jedenastej zebrało się tam dwieście dziewcząt. Tłoczyły się na schodach, które nie wytrzymały ciężaru, załamały się i dziewczęta zostały ranne. Opowiedziałem ten fakt tak, jak on miał miejsce, niczego nie dodając od siebie, i w końcu zwróciłem się do publiczności z pytaniem: „Czyja to wina, że dwieście dziewcząt musiało tłoczyć się na schodach w nadziei, że znajdą od dawna poszukiwaną pracę?”. Jednakże, kiedy ukazał się film, prasa rządowa i klerykalna oskarżyła mnie o fałszerstwo, zażądała surowych represji. I rzeczywiście wielu producentów zamknęło mi drzwi przed nosem. A czy pamiętasz, co się stało, gdy ukazał się film Vittorio De Sica „Umberto D”? Film ten opowiada o starym emerycie, który postanawia popełnić samobójstwo, ponieważ nie może żyć uczciwie. Przeciwnie temu filmowi rozpuściła się wielka burza. Sam podsekretarz stanu w Prezydium Rady Ministrów, Andreotti, napisał artykuł, w którym głosił, że film ten oczernia Włochy.

Przypominam sobie ten wypadek. Dziś, niestety, Vittorio De Sica, ustępując pod presją kół rządowych, zrealizował film pt. „Stacja Termini”, ulegając ideologii amerykańskiego imperializmu. Film ten jest niejako przykładem błędnej drogi włoskiej kinematografii.

„Film włoski — mówił dalej De Santis — jeżeli chce żyć, musi pozostać wierny sobie samemu, to znaczy musi być filmem realistycznym, filmem narodowym i ludowym. Musi jasno widzieć rzeczywistość, musi wносить swój wkład do walki naszego ludu. Filmy realizowane przez reżyserów — antyfaszystów posunęły nas naprzód, ale pozostaje jeszcze wiele do zrobienia. Pozostaje nam walka, i musimy ją prowadzić”.

— W jakim kierunku ma się rozwinąć ta walka?

— W tym samym kierunku, w którym kroczy cały naród. Jeżeli dobrze zanalizujemy sytuację, dostrzeżemy, że antydemokratyczna polityka rządu włoskiego powoduje upadek kinematografii. Cenzura, knebel na ustach, przekupywanie artystów — wszystko to zubożyło naszą produkcję filmową. Dusi nas kapitał amerykański. Kina nasze zalane są ordynarnymi filmami, przywiezionymi zza Atlantyku. Filmowcy powinni sobie zdać sprawę z tego, że nie mogą zamykać się w wieży z kości słoniowej i realizować filmy, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. A rzeczy-

wistość stoi żywa przed naszymi oczyma, rzeczywistość nędzy, bezrobocia, analfabetyzmu, wyzysku robotników. Jest to także rzeczywistość posiadaczy, którzy wzbogacili się na krwi ludu, rzeczywistość monopolistów, trwoniących miliony na hulankach. I to są dwa główne aspekty rzeczywistości włoskiej, właśnie takie, a nie inne. Gdy filmowcy widzą rzeczywistość taką, jaką ona jest naprawdę, tworzą filmy polityczne, demaskują naszą ponurą sytuację i tym samym narażają się na prześladowania. Ale powinni decydować się na to. Inaczej naraziliby się na rzecz znacznie poważniejszą — na pewnego rodzaju „intelektualną sterylizację”.

„Trzeba się jednoczyć i walczyć — mówi De Santis. — Trzeba walczyć przeciwko klerykalnemu obskurantyzmowi, który zawsze usiłował przeszkodzić rozwojowi kultury. Co by się stało, gdyby Galileusz, zagrożony ekskomuniką, załamał się? Nie wolno się załamać, należy się bronić. Przypomnij sobie ten przepiękny film Chaplina „Gorączka złota”. Oszałały z głodu człowiek chce zabić biednego Charlot, ponieważ wydaje mu się, że jest on kurczakiem. Kinematografia włoska znajduje się właśnie w sytuacji tego kurczaka. Istnieje ktoś, kto go chce zabić. My filmowcy ciągle powtarzamy, że jesteśmy ludźmi, że myślimy tylko o przyszłości człowieka, ale nie słuchają nas. Istnieje szaleniec, który chce nas zabić. Jeżeli głód jest złym doradcą, to antykomunizm jest jeszcze gorszym. A nasi władcy nawiedzeni są przez demona antykomunizmu. Wszędzie widzą czerwień. Boją się”.

Wywiad nasz jest skończony. Zostawiam De Santisa z jego pracą.

De Santis jest artystą odważnym i konsekwentnym; walczył zawsze o film narodowy i ludowy, o film realistyczny. Jego dzieła: „Tragiczny pościg”, „Gorzki ryż”, „Nie ma pokoju pod oliwkami”, „Rzym, godzina 11” — odniosły wielki sukces na całym świecie. Życzymy mu także, aby jego następny film był wielkim osiągnięciem. Życzymy mu, aby stworzył taki film, jaki pragnie stworzyć. I te same życzenia kierujemy do całej kinematografii włoskiej i do całego narodu — życzymy tak reżyserowi De Santis, jak i biednym chłopom z jego rodzinnej wsi Fondi: zerwania ołowianych pęt, które nakłada na nas reżim klerykalny, i tworzenia własnymi rękoma nowego świata, świata pokoju.

WYWIAD DLA „ŚWIATA” PRZEPROWADZIŁ TOMMASO CHIARETTI

Scena z filmu „Rzym, godzina 11”. Dzieło to, poruszające odważnie problem bezrobocia we Włoszech, należy do najlepszych pozycji postępowej kinematografii.



FOTO

KORSPONDENCI DONOSZA

ŻOŁNIERZE NOWEJ HUTY



Żołnierze i oficerowie otoczyli ob. Wadowskiego i jeszcze po zebraniu wyruszyli w dalszym ciągu o Nową Hutę.

Wielka sala teatralna Okręgowego Domu Oficera w Krakowie szybko wypełnia się po brzegi.

To oficerowie i żołnierze wraz z pracownikami administracji wojskowej i żonami czesli się tu na spotkanie z czołowymi przodownikami kombinatu Nowej Huty.

Topa i Mróz, Sender, Motyka i Wadowski — odznaczony orderem „Sztandaru Pracy” — opowiadają o trudnościach, jakie muszą pokonywać w swej pracy, o nowych doświadczeniach, o tym, jak z dnia na dzień rośnie Nowa Huta.

Wśród przodowników kombinatu jest wielu byłych wojskowych, którzy są — jak sami powiadają — „nadal żołnierzami na nowym posterunku. Czołg i karabiny zamieniliśmy tylko na dźwigi i potężne spychacze”.

Największe chyba zainteresowanie zebranych wywołuje opowieść o Młodzieżowej Bry-

gadzie Nowej Huty, która składa się z chłopów z Rzeszowskiego, Białostockiego, Krakowskiego; opowieść o tym, jak dojrzewali w pracy, jak zdobywali kwalifikacje zawodowe, jak rosła ich świadomość ideologiczna i miłość do Nowej Huty.

— Jeszcze niedawno byliśmy parobkami, dziś jesteśmy wykwalifikowanymi murarzami — opowiada młody brygadista Loreno. — Wiele z nas poszło do szkół oficerskich, do szkół technicznych czy na kursy korespondencyjne.

Spotkanie upłynęło w atmosferze serdeczności i przyjaźni. Nie było to oficjalne zebranie, lecz rozmowa ludzi bliskich, których ożywia ta sama myśl: Nowa Huta. Był jak najprędzej rosta, by jak najprędzej weszła do produkcji naszej socjalistycznej gospodarki.

Zygmunt Konopski, Kraków

KAŻDY MOŻE HODOWAĆ NUTRIE

— Do fermy nutrii? — mały chłopak jest nieco zakłopotany naszym pytaniem. Chwile się namyśla, potem kręci przecząco głową. Nie, nie wie. Zresztą nie wie również, co to jest nutria.

Natomiast na pytanie, gdzie jest hodowla szczurów wodnych, z zadowoleniem lokuje się w samochodzie i każe jechać przez las. Wśród drzew potyka się rzeka Bober. Ferma w Janowicach musi być gdzieś blisko, gdyż podstawa założenia jej była woda tej właśnie rzeki. Za chwilę jesteśmy już na miejscu uprzednio oprowadzani i informowani przez dyrektora hodowli.

— Przed wojną tutaj były leśniczynie z amatorską hodowlą nutrii w niewielkiej liczbie — wyjaśnia kierownik fermy. — Po wojnie natomiast założono już wielką fermę hodowlaną; ujarzmiło rzekę i zbudowano niewielkie hasienki betonowe, w których każda rodzina nutrii ma własne „mieszkanie”.

Małe te, nieco większe od szczura zwierzątka, są bardzo kłótlive i łatwo wdają się w bójkę między sobą. Często te ostre „konflikty” — w obawie o życie zwierzątek i całość futerki — musi likwidować ktoś z pracowników fermy.

Nutrie to bardzo użyteczne stworzenia. Z włosów ogona — po przerobieniu — otrzymujemy doskonałą nić chirurgiczną; sierść z grzbietu służy do

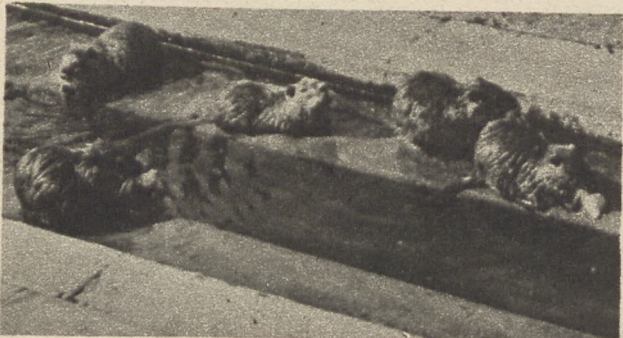


Walenty Walcarek, pracownik fermy, dobrze zna swych nutrii

wyrobu kapeluszy, a skórka z brzuszków stanowi piękne i cenne futerko, świetnie chroniące przed zimą. Z zębów wyrabia się ozdoby galanterii, a białe mięso jest podobno nie lada przysmakiem.

Hodowla nutrii jest bardzo opłacalna i nie wymaga specjalnych kosztów czy urządzeń. Może je hodować każdy, kto ma w pobliżu wodę — strumień czy sadzawkę.

Z. Pim, Wałbrzych
Fot. Santecki



Kapleli słonecznych zażywają nutrie nad brzegiem kanału



Kolejarze i ich rodziny coraz chętniej korzystają z wczasów wagonowych.

Na nadbałtyckich plażach wypoczywają górnicy i hutnicy; w Zakopanem, Augustowie, Szklarskiej Porębie zażywają kąpiele słoneczne stocznicy, metalowcy i chłopcy. Większość z nich dopiero w Polsce Ludowej korzysta z wypoczynku w najpiękniejszych ośrodkach klimatycznych.

Nowym pomysłem są wczasy wagonowe dla pracowników PKP i ich rodzin, przede wszystkim dla przodowników pracy, zwane popularnie „wczasami na kółkach”. Organizowane od paru lat przez

Ministerstwo Kolei w najładniejszych okolicach kraju, cieszą się coraz większą popularnością. Podczas gdy w r. 1949 korzystało z nich zaledwie 10 tys. pracowników, to w r. 1952 — już ponad 30 tys.

Każda rodzina kolejarska, skierowana na wczasy wagonowe, otrzymuje do dyspozycji na 14 dni osobny wagon, wyposażony w niezbędny sprzęt i oświetlenie elektryczne. W pobliżu pociągów wczasowych znajdują się kuchnie, magazyny podręczne i jadalnie.

Nie zapomniano też i o potrzebach kulturalnych. Biblioteki, czytelnie, radio, oddziały zespołów świetlicowych zapewniają wczasowiczom miłą rozrywkę. Często uczestnicy wczasów sami organizują wieczory artystyczne.

O popularności wczasów wagonowych, o tym, jak je oceniali sami pracownicy kolei, najlepiej mówią uwagi w książkach życzeń: „Wczasy wagonowe w Augustowie były dobrze zorganizowane — pisze Jan Zakrzewski, maszynista parowozowni Warszawa Wschodnia. — Jestem zadowolony z grzecznej obsługi stołówki i smacznych obiadów. Życzeniem moim i rodziny jest, aby w roku na-



„Obiad na świeżym powietrzu smakuje lepiej niż w domu”. W. Włodarski i S. Smigera na wczasach w Augustowie.

stępnym ponownie spędzić wczasy na pojezierzu augustowskim. Wczasy dały mi zupełny wypoczynek i siły do pracy”.

Z roku na rok poprawiają się warunki pobytu na wczasach wagonowych, zwiększa się ilość wagonów, wzrasta

wyposażenie, polepsza się obsługa, uruchamia się nowe ośrodki.

Wczasy wagonowe, dające pracownikom PKP i ich rodzinom możliwości wypoczynku, są wielką zdobyczą społeczną kolejarzy.

T. Szymanek, Olsztyn



Po dniu pełnym wrażeń i zabaw dobrze będzie się spało w naszym „domku na kółkach”

AJ, TE DZIURY...



Uwaga, uwaga! Można nocować, ale tylko w dni pogodne.

Stacja wodna w Sokole-Kuźnicy nad Brdą w Borach Tucholskich została zbudowana po to, by miłośnikom sportu kajakowego służyć jako schronienie przed zimnem i deszczem, by zapewnić im tani nocleg i posiłek.

Tak jest w teorii, a jak w praktyce?

W praktyce stacja zapewnia schronienie i nocleg, ale tylko wówczas, gdy jest pogodnie. Natomiast gdy pada deszcz, woda przez wielkie dziury w dachu leje się biednym kajakowiczom wprost na głowy. Ratują się wtedy jak mogą, podkładając pod strumienie wody wszelkie możliwe garnki, rondle i kubki, tak że schronisko przypomina raczej kuchennych. Jeśli ci na piętrze mają sen „lekkie” i w porę opróżnią naczynia, ci z parteru mogą spać spokojnie. W przeciwnym wypadku i piętro i parter — pływa.

Zarząd Urzędów Turystycznych PTTK w Gdańsku na alarmy kierowników stacji, M. Baczyskiej — nie można zaprzeczyć — nie pozostaje głuchy. A także, wysłał natychmiast swych urzędników. Urzędnicy przyjeżdżają, oglądają, spisują protokoły i... odjeżdżają. A strugi wody w dżdżyste dni nadal zalewają stację.

Jeśli dłużej tak potrwa, jeśli nic się nie zmieni, to należy się spodziewać, iż stacja w Sokole-Kuźnicy, jeden z najładniejszych obiektów tego rodzaju, wkrótce zniszczone zostanie. Wodniacy stracą możliwość wypoczynku i wygodnego noclegu, a biurokraci z Zarządu Urzędów Turystycznych w Gdańsku będą mieli nareszcie spokój. Kto wie, może właśnie o to im chodzi?

T. Palacz, Warszawa
Fot. P. Wisniewski

KOBIETA — RACJONALIZATOR

Szkoda, że kobiety, które stanowią dość znaczny odsetek załóg kopalnianych, nie przejawiają dotąd większego zainteresowania racjonalizatorstwem.

Pierwszą i — jak dotychczas — jedyną kobietą-racjonalizatorem w kopalniach Dolnośląskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego jest 23-letnia Irena Michalska.

Od roku pracuje ona w kopalni „Victoria” jako konstruktor. Przeshody w procesie technologicznym, hamujące normalny tok produkcji, zrodziły w niej zainteresowanie racjonalizatorstwem. W tej też dziedzinie zgłosiła ona wkrótce dwa projekty, które są już zastosowane w produkcji. Obecnie Irena Michalska pracuje nad dalszymi usprawnieniami, która pomaga usunąć niejedno „wąskie gardło” kopalni.

A. Kopczyński, Szczawno



Irena Michalska w pracowni kopalnianej.

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

JESZCZE O FILTRACH

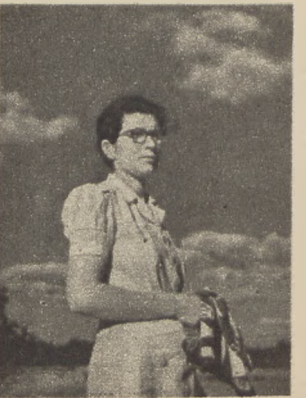
Ostatnio podaliśmy nadesłany do redakcji przez Leona Piątkowskiego z Bolesławca, sposób wykonania filtrów fotograficznych z celofanu. Otrzymałmy w tej sprawie również list od innego naszego czytelnika, Feliksa Szyszko z Wołomina.

„Znając jeszcze przed wojną filtry Hübla — pisze on — które miały barwioną cienką powłokę żelatynową, spróbowałem sam barwić filtry. Rezultat, jaki otrzymałem, przeszedł moje oczekiwania. Dziś mam kilkanaście sztuk filtrów w różnych kolorach i odcieniach, o różnorodnym zastosowaniu”.

A oto sposób wykonania tych filtrów: kupujemy jakiegokolwiek kłiszę szklane (dobre są płyty graficzne) i kapieśmy je przez 15 minut w utrwalczu, następnie przez pół godziny starannie płuczemy pod kranem lub przez godzinę w naczyniu, zmieniając co 10 minut wodę. Następnie kłiszę barwimy, używając do tego celu barwników do tkanin, które można nabyć w każdej mydlarni.

Zabarwioną równomiernie kłiszę oddajemy po wyschnięciu do warsztatu szklarskiego dla wycięcia krawków o odpowiedniej średnicy. Wielkość ich będzie zależała od średnicy oprawy naszego obiektywu lub średnicy oprawy do filtru. Jeżeli jej nie mamy, możemy zastosować sposób nas poprzednio, według opisu L. Piątkowskiego. Wytnijmy nie dwa, lecz trzy krawki z grubego kartonu i między nimi umocujemy nasz filtr, jak to pokazano na rysunku.

F. Szyszko nadesłał nam również liczne zdjęcia wykonane przy użyciu filtrów własnego wyrobu. Reprodukujemy trzy fotografie: pierwszą — wykonaną z zastosowaniem filmu złotego, drugą — pomarańczowego i trzecią — ciemnoczerwonego.





Międzynarodowy turniej w hokeju na trawie przyniósł pełny sukces drużynie Spójni. O zwycięstwie zadecydowała ostatnie spotkanie turniejowe, rozegrane między Austrią Wiedeń i Aktivist Berlin (na zdjęciu od lewej Austria). Mecz stał na wysokim poziomie technicznym i dostarczył wiele emocji. Młodzi berlińczycy, dysponujący doskonałą kondycją i techniką, potrafili przechylić szalę zwycięstwa na swoją korzyść i wynikiem 2:1 pokonali europejskiej klasy wiedeńczyków

Z łaską za piłką



Czołowy zawodnik Aktivist, Weinhold, we wszystkich spotkaniach turnieju grał doskonale. Nie udało się ambitnemu Czajce z zespołu Spójni przejąć piłki.

NIEWIELU z nas oglądało zawody hokeja na trawie. A szkoda, bo to piękny sport. Walorami widowiskowymi nie ustępuje piłce nożnej czy koszykówce. Surowe przepisy całkowicie eliminują pierwiastki brutalności. W sumie — sport wart szerokiej popularyzacji.

W NRD 6000 zawodników uprawia tę dyscyplinę. Nawet dziewczęta gonią za białą piłeczką. Widzieliśmy ostatnio zawodników NRD oraz hokeistów Austrii w dniach 14 — 16 sierpnia w Toruniu i Gnieźnie, w spotkaniach z naszymi drużynami: Spójnią i Stalą

I

Międzynarodowy czwórmecz rozpoczyna się w Toruniu. Pierwsi aktorzy: Aktivist i Stal. Rezultat 5:1 dla gości. I zaraz potem: Austria zwycięża Spójnię 1:0. Dwie porażki. Wśród widzów rozczarowanie: przecież nasza reprezentacja odniosła w Helsinkach sukces, lokując się na szóstym miejscu. Przecież Alfons Flinik został powołany do reprezentacji Europy! Wśród naszych zawodników lekka konsternacja: liczyli, że wypadną lepiej. Pierwsza próba nie udana. To trema, wynikająca z małego obycia międzynarodowego i z poczucia ciężaru odpowiedzialności polskich reprezentantów.

II

Autokary z zawodnikami mkną szosą Toruń — Gniezno. Przednią część wozu zajmują wiedeńczycy. Śmieją się i dowcipkują. Wczoraj wygrali ze Spójnią, że znacznie słabszą Stalą lekko dadzą sobie radę. Śpiewają: „Gdy środkowy napastnik strzeli gola“. W tylnej części autokaru siedzą zawodnicy Stali. Są smutni po ciężkiej porażce. Bramkarz Górny zwiesił głowę. Rozmyśla. W ciągu 70 minut pięć razy musiał wygarniać piłkę z bramki. Przykre. Słońce praży przez otwarte okna wozu. — A może i my zaśpiewamy —

pada propozycja. Ktoś intonuje i już rozbrzmiewają piosenki: sportowe i żołnierskie. Nastrój się poprawia.

III

Inowrocław. U wejścia do parku zdrojowego na klombie przesłany napis z kwiatów: „Uzdrowsko inowrocławskie w służbie kraju“. Wiedeńczycy zachwyceni: „Wie schön“ — wołają. Krótki postój, spowodowany defektem motoru. Wody mineralne smakują wszystkim.

IV

W Gnieźnie, na boisku Spójni. Gospodarze zwyciężają berliński Aktivist 1:0. Radość ogarnia trybuny, ale urasta w entuzjazm po drugim spotkaniu. Stal remisuje 1:1 z groźną Austrią, gdzie gra aż sześciu olimpijczyków. Bramkarz Górny bohaterem spotkania. Gniezno przeżywa wielki dzień. To jego święto, bo Gniezno — to stolica polskiego hokeja na trawie. Ktoś puszcza dowcip: Hokej na trawie? Przecież tu trawy nie ma! Rzeczywiście, boisko Spójni wprowadziło idealnie równe, ale jest ziemne.

V

Upalna niedziela. Stary Toruń prawie wszystkich mieszkańców wyrzucił nad Wisłę. Tylko ożywiony ruch w Muzeum Kopernikowskim, które gości dziś zawodników niemieckich i austriackich, oprowadzanych przez polskich kolegów.

Na plantach w cieniu kasztanów opiekunowie drużyn analizują sytuację i obliczają szanse. Po czterech spotkaniach aż trzy drużyny mają widoki na zajęcie pierwszego miejsca. Wiceprzewodniczący austriackiej sekcji hokeja na trawie, p. Renner, najwyższą technikę znajduje u swoich. Ale Niemcy są młodzi, mają szybkość i kondycję... I Polacy poczynili ogromne postępy. Kondycyjnie i taktycznie dobrzy.

Przedstawiciel NRD, Pavelke, uważa, że

jego młoda drużyna powinna zwyciężyć, chociaż docenia wysokie umiejętności wiedeńczyków. Co do Polaków, to, wprowadzając w Gnieźnie sprawili dużą niespodziankę — ale chyba już nie mogą im zagrozić.

Przewodniczący naszej sekcji hokeja na trawie, ob. Janicki, oblicza z notatek: mamy szanse, jeżeli Aktivist pokona Austrię, bo Spójnia na pewno zwycięży Stal. Wtedy zadecyduje stosunek bramek. No, zobaczymy po południu.

VI

Przewidywania w połowie spełnione: Spójnia rozkłada 6:0 drużynę Stali, osłabioną brakiem kontuzjowanych Pawlickiego i Górnegogo. Teraz tylko potrzeba, by wygrał Aktivist. Byle znów nie za wysoko!

Już toczy się walka. Na murawie barwią się szkarłatne koszulki berlińczyków i białe wiedeńczyków. Strzela doskonały Austriak Schala — broni znakomity berlińczyk Adler. Nagle zrywa się burza oklasków. To Berton (Aktivist) strzelił bramkę. Radość, że właśnie Berlin górą, gaśnie, gdy Holzapel wyrównuje. Tempo rośnie. Nerwy dygocą. Stukot łasek pogania uciekające minuty. Jeszcze tylko 15 minut, a stan 1:1. Niemcy atakują jak szatany, Austriacy bronią się z zębem. Zamieszanie pod bramką Austrii. Werner chwycił piłeczkę. Ostry strzał. Gol!

Na widowni szalona radość. Spójnia wygrała turniej.

VII

Zamknięcie turnieju i wręczenie pucharów. Cztery drużyny rozwinięte frontem do trybuny, w kolejności: Spójnia, Aktivist, Austria, Stal. Wśród nich wyróżniający się gracze turnieju: Marzec, Maciaszczyk i Flinikowie Henryk i Jan (Spójnia); Adler, Liesig i Weinhold (Aktivist); Pecanka, Schola i Holzapel (Austria); Górny i Pawlicki (Stal). Padają słowa pożegnania, kończące trzydniowy turniej. Rozbrzmiewa hymn Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej.

KRYSTYNA WOLSKA



Raz po raz atakowana była bramka Spójni. Tym strzałem Koller (Austria) nie osiągnął celu. Tyczyński (z prawej) wysłał zaraz piłeczkę na środek boiska.



Taki moment kosztuje dużo nerwów... Tym razem biała piłeczka musnęła tylko bramkę, ale sześć razy gościła w niej podczas meczu Spójnia — Stal

Z tej klasy bramkarzem co berlińczyk Adler niełatwa sprawa. W ciągu całego turnieju trzy razy tylko wygarniał piłkę z bramki. Widzimy jednak, że tym razem sytuacja była naprawdę gorąca i Adler zmuszony był do robinsonady w stylu bramkarza piłkarskiego. Młody hokeista Stali, Litewka, nie daje jednak za wygraną..



GORĄCA WIEŚ

AMBINANITELO

MIAŁEM kiedyś takiego babakuta — mówię. — Był nad wyraz rozkoszny. Jeździł ze mną po całym kraju. Czy tego tutaj bardzo lubisz?

— Bardzo mocno.

— Chciałabyś mi go sprzedać?

Velomody na chwilę wpatruje się we mnie mocno i z takim wyrzutem, że ogarnia mnie jakieś niewyraźne zmieszanie.

— To jest mój wielki przyjaciel! Grand ami! Grand ami! — powtarza i w całej jej twarzy maluje się oburzenie na tych, którzy sprzedają przyjaciół.

Nie spodziewałem się w tej młodej, niemal dziecięcej Velomody tak żywego odruchu.

— To odstąp mi go przynajmniej na czas mego pobytu w Ambinanitelu — poddaje.

— Nie można, vazaho.

— Dam ci wielkie cadeau — podarek!

— Nie, vazaho! Nie możemy się rozłączyć, babakut i ja.

— Świetnie! — wołam z przesadnym zapałem. — W takim razie wezmę was dwoje do mej chaty!

Lecz Velomody nie podziela mego żartobliwego tonu.

— Nie można! — odpowiada z godnością, potrząsając poważnie głową.

— Dlaczego nie?

— Bo ty lubisz Benaczehinę.

Masz, diable, kaftan! Udaję oburzonego, głośno nosem wciągając powietrze i dudnięć:

— Do licha! Co wy mnie tak przesładowacie tą Benaczehiną? To jakieś śmieszne plotki, wyssane z palca...

Podczas tej rozmowy obydwa chłopcy zsuwają się z palm na ziemię. Razem z dziewczynami, które pracowały przy kokosach, podchodzą do nas rozbawioną gromadą i otaczają półkolem, by również pogadać z vazahą.

— Czy dawno uczysz się francuskiego? — zagaduje Velomody.

— Uczylam się w szkole — zbywa mnie lekkim wzruszeniem ramion.

— Ale teraz podobno bierzesz specjalne lekcje?

— Tak? — dziewczyna okazuje zdziwienie. — Skąd to wiesz?

— Mówili mi. I mówili, że chcesz iść do Maroantsetry na pracę. To prawda?

W gronie otaczającej nas młodzieży powstają ciche chichoty i wszyscy rzucają sobie jakieś złośliwe uwagi po malgasku. Velomody jest mocno zakłopotana. Brązowa jej twarz nabiera odcienia ciemnoczerwonego, oczy wilgotnieją, a na jej nozdrzach występują drobne perełki potu. Już dawniej zauważyłem, że młode Malgaski łatwo pocą się na nozdrzach, gdy są wzruszone.

— Czy to prawda, że opuścisz wleś? — powtarzam, gdy dziewczyna zbyt długo nie odpowiada na moje pytanie.

Velomody stroi jakieś zabawne miny, chce coś powiedzieć, waha się i uśmiecha bezradnie. Wyręcza ją jeden z chłopców, jej rówieśnik, może siedemnastoletni, wołając do mnie z urwiskowym humorem:

— Ja ci powiem, vazaho! Czy dasz mi cadeau?

— Dam.

Velomody rzuca się z wesołym wrzaskiem na chłopaka, by powstrzymać jego gadanie. Ale młokos uciekając przed nią zdradza mi z daleka:

— Ona uczy się po francusku, by mówić do ciebie. Oui, monsieur!

Velomody przestaje gonić i zadyszana wraca do mnie.

— On kłamie! — zapewnia i dodaje: — Czy zaczekasz chwilkę?

Biegnie pod palmy, wyszukuje wielki orzech kokosowy, przebija w nim dziurę i przynosi mi go, wyniosłym ruchem trzymając przed sobą jak cenny, królewski dar.

— Wypij! — prosi.

Otwór orzecha przykładam do ust. Płyn wspaniały: chłodny, słodki, aromatyczny. Gdy dość się napijam, oddaję kokos dziewczynie, która pyta miękkim, wyciekającym głosem:



ZARABE WCIĄŻ SPIEWA PRZECIW MNIE...

— Czy dobre?

— Wyśmienite.

Sama pije z tego samego orzecha, potem razem z towarzyszami odchodzi do swej pracy pod palmami. Oswojony babakut płacze się przy jej nogach. Są to krzepkie, dojrzałe, kobiece nogi, co spostrzegam z pewnym zdumieniem. Właściwie drobiazg, a jednak sprawia mi przyjemność.

19.

SPIEWY GŁODNEJ KRWI

WIECZÓR w Ambinanitelu zaczyna się wielkim krzykiem żab na ryżowisku, krzyczących jak namiętny tłum ludzi, a już potem świerszcze świszczą przeraźliwie, nocne ptaki cmokają, zbudzone owady szumią na wszystkich górskich stokach i w całej dolinie podnosi wrzawę wszelka głodna zgraja. Coraz natęczywiej wyraża swą wieczorną żądzę, a najgłośniej, najchciwiej krzyczy ludzka młodzież. Nękana niepokojem dojrzwania, zbiega się nocami na skrajach sioła i tam swe podrażnienie zmysłów topi w opętanym biciu w bęben, w bezustannym tańcu i ogłuszającym śpiewie. Jest to zwyczaj Malgaszów, według którego od niepamiętnych pokoleń księżycowe noce należą do młodzieży.

Wśród niezrozumiałych słów śpiewu słyszę niepokojący wyraz: vazaha, i następnego dnia brązowi chłopcy patrzą na nas, dwóch białych ludzi, złośliwie, a dziewczyny unikają naszego wzroku.

— Czy oni o nas śpiewają? — wypytuję się dobrych znajomych we wsi.

Same wymijające odpowiedzi. Wójt Rajaona udaje lisa i rzekomo nic nie wie, Makooa Berandro wzdyga ramionami, a stary Dżinarivelo, mój przyjaciel, rzeczywiście mało co wie: zapatrzonej w dal, kocha tylko swe widmo lasu.

Pozostaje jedynie nauczyciel Ramaso. I on nic dokładnego nie wie, gdyż ma żonę i noce spędza we własnej chacie. Ale jest życzliwy i uczynny. Chętnie chciałby mi pomóc. Przyznaje, że część mieszkańców wsi odnosi się do nas niezbyt chętnie, ale uważa to tylko za wynik chwilowego kaprysu, a nie istotnej wrogości.

— Prawie cała męska młodzież — powiadam — jest źle usposobiona. Czym to tłumaczyć?

— Prosta rzecz! — uśmiecha się nauczyciel. — Przyfrunęliście obydwa do nas jak ci książęta z waszych europejskich bajek i swoją obecnością niepokoiacie wszystkie młode ramatu. By zjednać sobie chłopaków, na to jest tylko jedno lekarstwo.

— Mianowicie?

— Wybrać sobie dziewczynę i wziąć ją jako vadi na czasowe małżeństwo.

— Może znowu polecicie mi Benaczehinę?

— Mamą tutaj tyle innych ramatu! I sprawa ta jest ważniejsza, niż wam się wydaje. Chodzi nie tylko o kwestie osobiste. Posiadając tutejszą vadi wesłlibyście poniekąd w naszą rodzinę malgaską i wtedy wieś — cała wieś — łatwiej znalaby was za swojego. Czy znać dziewczynę Rasoe?

— Widziałem ją, owszem.

— Zdaje się, że jest wolna.

— Dobrze, ale mniejsza o nią! — powiadam zniecierpliwiony. — Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, co oni nocami śpiewają o nas.

— Pójdziemy tam posłuchać.

Dziś księżyc wschodzi o dziesiątej w nocy i krótko potem odywają się zwykle śpiewy. Idziemy w ich kierunku na skraj wsi i zastajemy tańce już w pełnym toku. Tańczących jest pewnie trzydziestu. Dwa zbite, szerokie rzędy, w jednym młodzieńcy, w drugim same dziewczyny — rytmicznie nacierają na siebie to doskakując ku sobie, to się cofając: odwieczny symbol zalotów przy chóralnym śpiewie raz dziewczyn, raz chłopaków.

MŁODZIEŻ TOPI SWE PODRAŻNIENIE ZMYŚŁÓW W TAŃCU I OGŁUSZAJĄCYM ŚPIEWIE...



Miedzy dwoma rzędami uwija się tegi śpiewak i gdy chóry milkną, daje treść śpiewom i wykrzykuje solo:

Struś jest ptakiem z rasy olbrzymów, słuchajcie!...
Gdy staje na nogach, głową podnosi niebo,
A gdy się kładzie, pazurami dziurawi skałę.
Struś może zjeść na raz siedem wzgórz z drzewami,
Lecz dwadzieścia pięć wielorybów nie starczy mu na kolację.

Gdy zamyka powieki, nastają straszne ciemności
I dwoje kochanków traci się z oczu na osiem lat...

Wtem bicie bębna głuszy słowa i dziewczyny uderzają chórem:

My chcemy widzieć naszych chłopców,
Nie ukrywajcie nam chłopców, eeej!...

Śpiewak, podniecony uznaniem, cudaczy i fantazjuje dalej:

Gdy struś westchnie, powstaje cyklon
I kurom zrywa całe pierze, a kobietom suknie.
Gdy struś wsadzi głowę do morza,
Powstrzymuje wszystkie okręty świata,
A na jego dziobie może tańczyć
Dziesięć par najlepszych tancerzy.
Gdy jedno pióro spadnie mu w Paryżu,
Słychać go huku w Maroantsetra
I przy tym giną Indie, a Chiny trzeszczą...

Bevazaha tłumaczy mi szeptem słowa śpiewaka i dodaje z uśmiechem:

— Owe nocne śpiewy i tańce, które widzimy, nazywają się tsiamunana, co znaczy: zabawa, w której się mówi samą prawdę....

— Jak się nazywa ten śpiewak? — pytam.

— Natriko.

— Wyobraźnię ma kapitalną!

Stoimy w pobliżu, na otwartej polanie, w blasku księżyca, i młodzież nas widzi, lecz pozornie nie zwraca na nas najmniejszej uwagi. Miedzy tańczącymi rozpoznaje Benaczehinę i rzucam ku niej przyjazne znaki ręką. Lecz wtem wyskakuje z szeregu nowy śpiewak i potężnym głosem przerywa chóry:

Przysięgam wam okropną prawdę, eeej!...

Widziałem w Tamatawie dziewczynę

Z wyżartymi ustami:

Usta wyżart jej vazaha, biały kochanek.

Widziałem w Foulpointe dziewczynę

Z wielką raną zamiast piersi:

Pierś wyżart jej vazaha, biały kochanek...

Wśród tańczących pryska wesoły nastrój, wywołany poprzednim śpiewem o strusiu. Młodzieńcy wszczynają melodyjny ryk oburzenia, dziewczyny chórem wyrażają lęk. A wojowniczy śpiewak nuci dalej:

Vazaha nie kocha jak mężczyźni,
Lecz przy kochaniu ślini i gryzie jak pies.
Idź do niego, Benaczehino, a wrócisz bez ust!
Idź do niego, Rasoa, a wrócisz bez piersi!
Czy wiecie, dlaczego vazaha ma złoty ząb?
Psy szczekają, gdy chcą gryźć,
Vazaha gryzie złotym zębem,
Gdy chce kochać...
Ciele wysysa mleko z wymion krowy,
Vazaha wysysa krew z ust dziewczyn.
Czy mi wierzycie, eeej!...

Nie ma wątpliwości, że chodzi tu o mnie.

— Któż to ten okrutny gębacz? — pytam.

— To Zarabe.

— Ach, to on?

Zarabe, syn sołtysa Bezazy, a przyjaciel Benaczehiny. Usiłuję w świetle księżyca przyjrzeć mu się dokładniej. Mój rywal ma już sporo ponad dwudziestkę, przy czym twarz jego nie odznacza się urodą. Wszyscy inni tańczący młodzieńcy wydają mi się znacznie przystojniejsi.

Bzdury zazdrosnego Zarabe śmieszają mnie, lecz zarazem i niepokoją. Niepokoją: są to zatrute strzały, rzucone w grono podnieconej młodzieży, strzały niebezpieczne dlatego, że nie przeciwstawia im się żadna tarcza, żaden hamulec; na tym nocnym zbiegowisku nie mam żadnej obrony.

Następnego dnia każe przywołać do siebie Natrikę, autora pieśni o strusiu, i w obecności nauczyciela Ramaso, wyrażając podziw dla jego dowcipu i talentu, proponuję mu przyjaźń i współpracę; za każdą pochwałną o mnie piosenkę zapłacę mu sute honorarium, dziesięć franków. Młodzianowi iskrzą się oczy, lecz powstrzymują go jakieś ważne wątpliwości. W końcu wyjawia je zażenowany.

— Czy vazaha rzeczywiście... je usta dziewczyn?

— Ani ma się śni! — odpowiadam stanowczo. — Mam lepszy pokarm: suchary!

— Suchary vazahy są stokroć smaczniejsze niż usta dziewczyn! — powtarza Ramaso i ostatecznie przekonuje młodego śpiewaka.

W dwa dni później, o północy, Zarabe znęca się jak zwykle nad moim złotym zębem, szarpiącym usta wszystkich dziewczyn świata, gdy ktoś zakłóca mu śpiew i nie dopuszcza młodzieży do chórów: jego rywal Natriko. Natriko rusza do walki i śpiewa:

Zdumiewający — jest złoty ząb vazahy, ej!

Olbrzymi jest nos vazahy!

Czy wiecie, dziewczyno, co to znaczy, ej?

Vazaha urodził się ze złotym zębem,

I jego ojciec miał już złoty ząb,

I jego dzieci urodzą się ze złotym zębem...

Vazaha ma olbrzymi, wielki nos...

Balszy ciąg w następnym numerze

SWIAT

o tym wie!

UWAGA MORDERCA!

W związku z wizytą bońskiego rzeczoznawcy wojskowego, gen. Heusingera w Waszyngtonie, publicysta amerykański Bernard Barth pisał na łamach dziennika „Detroit News” (26 lipca 1953):

„Stawiam dolary przeciwko orzechom, że nawet jeden procent Amerykanów nie jest świadom faktu, iż przebywa wśród nas morderca. Mam na myśli generała Adolfa Heusingera, wielbiciela Adolfa Hitlera, a zarazem serdecznego przyjaciela gen. Jodla, skazanego na śmierć za zbrodnie wojenne. Gen. Heusinger „konferuje” z Departamentem Stanu i z Pentagonem (departamentem wojny). Czegoż chcą się tam nauczyć od niego? Miliony zagazowanych i wymordowanych Europejczyków, pamięć naszych własnych żołnierzy zmasakrowanych w bitwie ardeńskiej — oto straszliwe oskarżenie przeciwko Heusingerowi, który był jednym z twórców Wehrmachtu i jednym z



Morderca

wodzów hitlerowskiej wyprawy przeciwko światu”.

Stawiamy dolary przeciwko orzechom, że ci, którzy zaprosili gen. Heusingera na konferencję w Departamencie Stanu i wojny świetnie wiedzą z kim mają przyjemność i wcale im nie przeszkadza, że przebywa wśród nich morderca.

BARBAROSSA (28 WCIELENIE)



Imię Barbarossa, które przylgnęło do Fryderyka I, cesarza Niemiec z dynastii Hohenstaufów, wywołuje w militarystach amerykańskich rzewne skojarzenia. Bo to i wyprawił się (w roku 1157) na Polskę, i imię to nadal w XX wieku hitlerowcy swemu planowi najeźdu na ZSRR. Nic przeto dziwnego, że sierżant wojsk USA (4 dywizja, stacjonowana w Gelnhausen, na terenie dawnego państwa Barbarossy, a obecnej strefy okupacyjnej

Stanów Zjednoczonych), Wendell Ralph Lutes, „doszedł do przekonania”, że jest 28 potomkiem cesarza.

Pod adresem sierżanta: niech pan uważa, mr Lutes, przecież Barbarossa znaczy „Czerwonoobrody” — aby się do pana nie przyczepił McCarthy o tę czerwień. Pod adresem innych wielbicieli cesarza Fryderyka I: panowie, uważajcie, Barbarossa wojskował 29 lat, po czym utopił się w małej rzeczce Salef w Azji Mniejszej...

PRZEDSTAWIAMY (I KATEGORYCZNIE ODRADZAMY) KANDYDATA

Nazywa się Werner Naumann i w nadchodzących wyborach do trizonńskiego Bundestagu jest głównym kandydatem z ramienia „niemieckiej partii Rzeszy” z prowincji Szlezwik-Holsztyn. Do roku 1945: sekretarz stanu w hitlerowskim ministerstwie propagandy — prawa ręka dr. Goebbelsa. Aresztowany przed siedmioma miesiącami wspólnie z hitlerowskim gaulajterem Hamburga — Kaufmannem, „przywódcą studentów” hitlerowskich — Scheelem i kilku jeszcze innymi brunatnymi dzia-

łaczami za zorganizowanie spisku hitlerowskiego. Spisek ten był szeroko omawiany przez prasę zachodnio-europejską i mówiono o nim także w brytyjskiej Izbie Gmin. Obecnie wszyscy spiskowcy już są na wolności. Wypuszczony 29 lipca Werner Naumann przybył (na zdjęciu) w dwa tygodnie później do siedziby bońskiego „Towarzystwa Historycznego i Kulturalnego”, aby wygłosić tam referat o „Zaletach Habeas Corpus”, czyli starej, brytyjskiej zasady demokra-

tycznej. Agencja Keystone opatrzyła to zdjęcie tytułem: „Naumann mówi z własnego doświadczenia...”, zaznaczając w podpisie, że „doświadczenia z korzyści Habeas Corpus pochodzą z najświeższej przeszłości Naumanna — a nie z okresu przed 1945 rokiem”.

Słusznie, słusznie! Przemiana zbrodniarza hitlerowskiego w kandydata do Bundestagu i rzecznika demokracji — jest (nawet dla niego samego!) — zdumiewająca...



ARGUMENT P. LANIELA

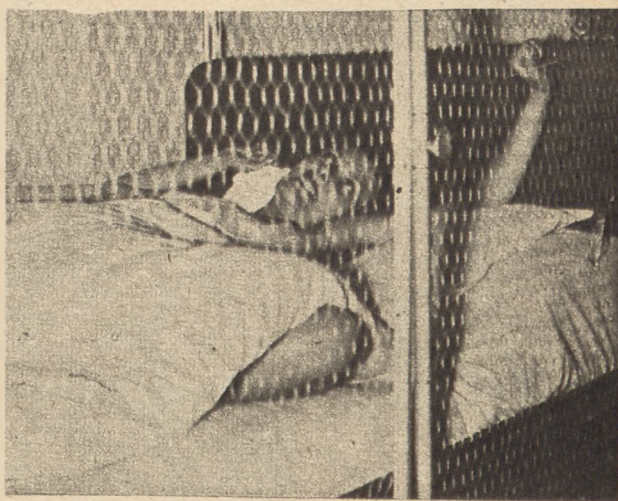


Miloner w premierowskim fotelu, p. Laniel, mniema, że znalazł właściwy argument na żądania francuskich robotników. Jeden z godnych poprzedników p. Laniela, prezydent Mac Mahon, w końcu XIX wieku zauważył, że bagnety są rzeczą bardzo użyteczną, lecz trudno na nich... siedzieć. Pan Laniel sądzi, że potrafi usiedzieć na pałkach policyjnych.

być najwłaściwsza droga rozwiązywania wszystkich trudności dręczących Francję. Jeden z godnych poprzedników p. Laniela, prezydent Mac Mahon, w końcu XIX wieku zauważył, że bagnety są rzeczą bardzo użyteczną, lecz trudno na nich... siedzieć. Pan Laniel sądzi, że potrafi usiedzieć na pałkach policyjnych.

CO SPĘDZA SEN Z POWIEK?

Hotel parkowy w Lue-neburgu (Trizonia) stoi w swych pokojach aparat projektu niejakiego dr Tackmanna — druciana siatka ma rzekomo zabezpieczać gości przed „zaburzeniami atmosferycznymi” powodującymi bezsenność. Wydaje się, że aparat nie pomoże tak długo, jak długo ludzie w Trizonii straszyć się będzie nową wojną, gnębić bezrobociem i poirzekiwnością szabelki.



TEATR ŚWIAT

Reżyseria i tekst: JAN SZELAŃ
Dekoracje i kostiumy: NA-GA

NA PRZEKÓR HISTORII

Widowisko w wielu odsłonach

SCENA I

Rok 203 przed naszą erą

HANNIBAL (cofając się spod murów Rzymu): Ha, cóż robić, trzeba zawracać, oni mnie pobili.

SCENA II

Rok 1410 pod Grunwaldem

ULRYK VON JUNGINGEN, WIELKI MISTRZ ZAKONU KRZYŻACKIEGO: Zakon rozbit! Jak na razie musimy zrezygnować ze swoich ambicji wobec Polaków i innych Słowian.

SCENA III

Rok 1815 pod Waterloo

NAPOLEON: Marzenie o potęgze zwyciężone raz na zawsze! Trzeba kapitulować.

SCENA IV

Rok 1870 pod Sedanem

NAPOLEON III: Bismarck zwyciężył! Adbykuję!

SCENA V

Rok 1945 — Berlin

HITLER: Jesteśmy okrażeni! Dajcie truciznę!

SCENA VI

Rok 1953, sierpień — Seul

I. SYN-MAN: A więc mistrzu, Johnie Fosterze, przebac mi, jesteśmy pokonani. Przez trzy tala nie zdołaliśmy zdobyć północnej Korei, ani pokonać Północnych. Podpisałeś rozejm, dowodzący, że to wszystko jest prawdą, że do rozejmu zostałeś zmuszony wojakowo i politycznie. Mówiłem ci, nie podpisuj rozejmu! W ten sposób przyznałeś się do klęski.

JOHN FOSTER DULLES: A my swoje dalej.

LI SYN-MAN: Nie rozumiem cię, bracie.

J. F. DULLES: Wyciągniemy wnioski z naszej klęski.

LI SYN-MAN: Co jeszcze chcesz uczynić?

J. F. DULLES: Żądamy wspólnie oddania pod twoją władzę północnej Korei.

LI SYN-MAN: Ale przecież myśmy przegrali...

J. F. DULLES: Wiem, co myślisz. Dotychczas na przestrzeni całej historii przegrywający rezygnowali siłą rzeczy ze swych zamierzeń. My postąpimy odwrotnie: ponieważ przegraliśmy, żądamy urzeczywistnienia tego, o co rozpoczęliśmy wojnę.

LI SYN-MAN: Będę o to krzyczał tak głośno jak umiem. Ale czy sądzisz, Johnie Fosterze, że oni nas usłuchają?

J. F. DULLES: Szczerze mówiąc, bardzo wątpię, przyjacielu.

LI SYN-MAN: Więc pocóż takie żądania?

J. F. DULLES: Bądźmy oryginalni. Niech historia o nas wspomni chociaż jako o politykach całkowicie pomylonych.

KURTyna

GORĄCA NATURA

Jajo kurze można ugotować na twardo przez podgrzanie do około 60°. W temperaturze tej ścina się i ginie nie tylko substancja białkowa jaja, ale ogromna większość tkanek żywych, białkowych i innych.

Są jednak substancje żywe, wytrzymujące takie, a nawet i silniejsze ogrzewanie. W gorących źródłach naturalnych znaleziono wodorosty, które czuły się znakomicie do 72°. Rekordzistkami zaś są niektóre bakterie, które mogą przetrzymać temperaturę do 140°.

KSIĘŻYCOWY CHŁÓD

Jeszcze w niedawnych latach można się było spotkać wśród rolników z mniemaniem, że — podobnie jak słońce daje ciepło — księżyc zysła na ziemię chłód. Przypuszczenie to, związane zresztą ściśle z praktyką rolniczą, oparte było na obserwacji następującego zjawiska: wios-

FESTIWAL...

rys. Borys Jefimow



— Ja wolę podnosić ceny...



— Ze wszystkich rodzajów wyścigów mnie odpowiada tylko wyścig zbrojeń.



— Moim zdaniem bardziej do twarzy byłoby im w mundurach wojskowych.



— A ja wolę tańczyć tak, jak zagrają w Waszyngtonie...

Droży Czytelnicy!

W piśmie naszym nieraz ukazywały się reportaże, wywiady, artykuły na tematy, które proponowali lub podsunęli Redakcji Czytelnicy. Nie trzeba dowodzić, że tego rodzaju czynny udział Czytelników w redagowaniu pisma jest celowy i słuszny. Listy z takimi propozycjami napływają do Redakcji stale i są w dużej części wykorzystywane w planowaniu numerów naszego pisma.

Jest rzeczą jasną, że tego rodzaju korespondencja Czytelników nie powinna odbiegać od ogólnie przyjętych zasad współpracy Czytelników z piśmie. Zdarza się niestety jednak, że nie wszyscy autorzy listów zdają sobie z tego sprawę.

Cytujemy z jednego listu:

„Jestem stałym czytelnikiem Waszego pisma, z wielkim zainteresowaniem czytam i oglądam ilustracje, które tak wspaniale obrazują ogrom prac, jakie wkładają budowniczości wielkich dzieł techniki w ramach Planu 6-letniego. Z wielkim zainteresowaniem śledziłem wspaniały czyn polskich robotników i inżynierów, jakiego dokonali w Hucie im. Bieruta w Częstochowie, tj. podnoszenia mostu przeładunkowego itp.”

Dalej w liście autor pisze o budowie nowoczesnej cementowni, której urządzenia wykonane są całkowicie w kraju i proponuje zamieszczenie reportażu na ten temat, zwłaszcza, że:

„montujemy maszyny polskiej produkcji — polskimi dźwigami — polscy robotnicy, korzystają z doświadczeń, jakie nam przekazali radzieccy eksperci w czasie montażu wspaniałej cementowni „Wierzbica”.

A teraz inny list:

„Droga Redakcjo „Świata”!

„Niekiedy ukazują się w Waszym poczytnym tygodniku „Świat” wywiady z wybitnymi przedstawicielami nauki polskiej. Można temu jedynie przyklasnąć. Uważam, że byłoby rzeczą wskazaną i pożyteczną uzyskać dla Czytelników „Świata” wywiad z wybitnym sinologiem profesorem Janem Wyplerem ze Stalinogrodu. Profesor Jan Wypler, jeden z nielicznych sinologów w Europie, jest powszechnie znany w kołach naukowych za granicą, natomiast w Polsce wie się o nim bardzo mało.”

W dalszym ciągu listu mowa jest o tym, że pracami prof. Wyplera winny zainteresować się również czytelnicy naukowe.

Oba listy są interesujące i słuszne, ale...

...Ale autorzy obu tych wartościowych listów nie uważali za właściwe przedstawić się Redakcji. Oba listy są nie podpisane: pod pierwszym figuruje literka R., pod drugim — litery W. Z.

Abstrahujemy od tego, że podpisywanie listów wymaga elementarnych zasad taktu. Pominiemy również fakt, że anonim wywołuje z reguły nieufność odbiorcy — zarówno w stosunku do autora, jak i treści nie podpisanego listu. Ale przecież Redakcji — w wypadku skorzystania z propozycji Czytelników — mogą być potrzebne jakieś dodatkowe informacje, wskazówki czy wyjaśnienia. W jaki sposób się wtedy mamy zwracać?

Redakcja wierzy, że w najbliższej poczcie nadejdą listy od obywateli R. i W. Z., podpisane tym razem tak, jak wszystkie inne listy Czytelników.

„ŚWIAT”



1 WRZEŚNIA 1939 ROKU Rys. Charlie

— Do widzenia, Gretchen, idę na wojnę błyskawiczną.

— Tylko nie spóźnij się na kolację...

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-84. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Zakłady Wkleślarukowe i Introligatorskie RSW „Prasa”
Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. Nr 530. Papier rotogr. V/80-82 cm. — 4-B-18730

PRZEZŁUPE LUNETE

WARTO PRZYPOMNIENIA

Dziś, kiedy setki uczonych w różnych krajach zajmują się zagadnieniem istnienia życia na innych planetach, kiedy w Związku Radzieckim powstała nowa nauka — astrobotanika, kiedy wreszcie fakt istnienia świata roślinnego na Marsie zdaje się nie ulegać wątpliwości — warto przypomnieć jedno zdanie z traktatu naukowego, napisanego dość dawno. Brzmi ono:

„Cały widzialny świat nie jest jedyny w przyrodzie i możemy przypuszczać, iż istnieją inne ziemie, inne stwórczenia i inni ludzie w innych miejscach przestrzeni”.

Autorem tych słów jest Lukrecjusz, rzymski filozof i poeta, który żył ponad 2.000 lat temu.

LENIGREN



— Czy dostanę Pamiłkę z Celulozy?
— Nie. Mamy tylko z bursztynu.

SPROSTOWANIA

Do poprzedniego numeru „Świata” wkradły się trzy błędy, które niniejszym prostujemy:

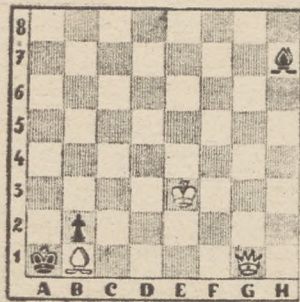
1. Nazwisko autorki reportażu na str. 18 pisze się *Fischer*, a nie *Fischer*, jak mylnie wydrukowano.

2. Na str. 24 zniekształceniu uległ podpis pod rysunkiem na niebieskim tle. Wzrost on brzmi: *Więzy*, które łączą francuskie kolonie z Francją (z napisu na portalu francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych).

3. Na str. 17 pod zdjęciem młodego *Jana Kasprowicza* znalazł się omyłkowo podpis „Dymitr Andrejewicz Lázogub”.

SZACHY

Zadanie 9
A. Galicki



Mat w 3 posunięciach (4 punkty).

PARTIA NR 76

grana podczas ostatnich mistrzostw Moskwy.

Obrona słowiańska

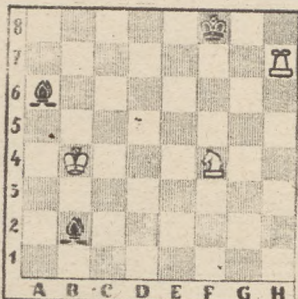
Białe: Flohr

Czarne: Antoszin

1. d2-d4 d7-d5 2. Sg1-f3 Sg8-f6 3. c2-c4 c7-c6 4. Sb1-c3 d5-c4 5. a2-a4 Gc8-f5 6. e2-e3 Sb8-a6

Zwyczaj grywa się w tej pozycji 6... e6. Posunięcie w tekście wprowadził Lasker. Ma ono na celu jak najszy-

Zadanie 10
H. Rinck



Białe zaczynają i wygrywają (5 punktów).

sze wykorzystanie słabości punktu b4 przez umieszczenie tam skoczka.

7. Gf1:c4 Sa6-b4 8. 0-0 e7-e6 9. Hd1-e2 Gf8-e7 10. a4-a5

Za najlepsze uchodzi tu 10. e4 Gg4 11. Wfd1 0-0 12. h3 Gh5

13. Ge3 z przewagą białych. Flohr jednak nie lubi ostrych pozycji, więc próbuje nowej kontymacji.

10... 0-0 1. Gc1-d2 c6-c5 12. d4:c5 Ge7:c5 13. Wf1-d1 Gf5-c2 14. Wd1-c1 Gc2-d3 15. Gc4:d3 Sb4:d3 16. Wc1-d1 Sd3:b2

17. Wd1-b1 Sb2-d3 18. Wb1:b7 Gc5-b4 19. a5-a6 Wa8-c8.

Czarne rezygnują z obrony piona a7, lecz przystępują do zaczepnych działań w centrum i na królewskim skrzydle.

20. Sc3-b5 Gb4:d2 21. He2:d2?

Ostatnie posunięcie białych wydaje się zupełnie naturalne. Mimo to jest błędem, po którym inicjatywa przechodzi na stronę czarnych. Należało być skoczkiem: 21. S:d2, nie obawiając się 21... Wc2, na co mogłoby nastąpić 22. Sd4.

21... Sf6-e4 22. Hd2-e2 Hd8-f6 23. Sb5-d4.

Lepsze było 23. Wf1 Sc1 24. He1,

23... Sd3:f2 24. Wb7:a7 e6-e5

25. Sd4-b3 Sf2-g4 26. Wa7-b7

Se4-e3 27. He2-e1 Hf6-h6.

Z groźbami bicia na e3 i 28... e4.

28. e3-e4 f7-f5 29. e4:f5 e5-e4 30. Sf3-h4 e4-e3 31. a6-a7

e3-e2 32. He1-g3 Sc3-e4 33. Hg3-f3.

Nie 33. H:g4, bo 33... He3+

z szybkim matem.

33... Wc8-cl+

i białe poddały się, gdyż na

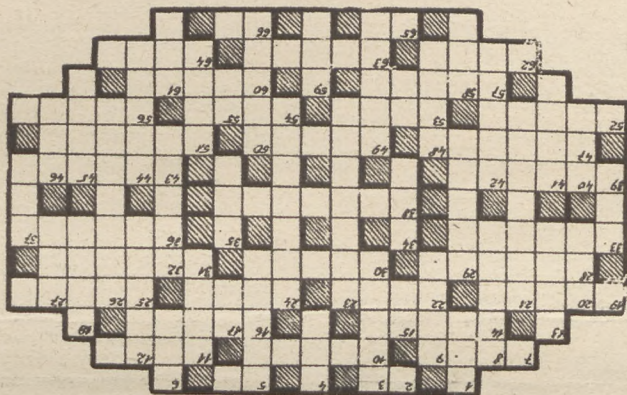
34. W:cl nastąpiłoby 34... H:

cl+ 35. S:cl e1H+ 36. Hf1

He3+ 37. Kh1 Sgf2+ itd.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA



wodór, 12) Muza pieśni miłosnej, 13) Epigramat zawierający głęboką myśl, 15) Nuta, 17) Zaimek osobowy, 18) Dopływ Warty, 20) Miasto portowe nad zatoką Botnicką, 21) Nastroj miłosny, 23) Sędzia polubowny, 24) Główna postać utworu literackiego, 26) Kobiety rasy mieszanej białej i czarnej, 27) Prawy dopływ Dunaju, 29) Młot do wbijania pali, 32) Artysta teatralny, 33) Smoła używana przy kryciu dachów papa, 34) Owad, 35) Zabawa taneczna, 37) Utwór poetycki, 40) Skrót agencji prasowej, 41) Ptak nocny, 42) Polecenie, przymus, 44) Gładka płyta, 45) Sala uniwersytecka, 46) Skrót jednej z wyż-

szych uczelni, 48) Cel, kres, koniec, 49) Narząd układu krwionośnego, 50) Lek otrzymany przez zalanie ziół gotującą się wodą, 51) Kolor w kartach, 55) Nuta, 58) Część nogi, 59) Miasto powiatowe w woj. białostockim, 61) Dopływ Wołgi.

(„Zet-Be” — Bytom)

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych

CZY WIESZ, ŻE...



miód naturalny zawiera najbardziej pożyteczne substancje soku kwiatów. Znane od dawna działanie miodu na skórę zostało wykorzystane i spotęgowane przez umiejętny dobór pozostałych składników „Kre-mu miodowego URO-DA”, który jest wybitnym specyfikiem regenerującym tkanki i odświeżającym skórę.



Na wstępie interesująca wiadomość: znowu zaczynają być modne krótkie suknie. Oczywiście nie należy wpadać w przesadę: suknia czy spódnica winna zakrywać kolana. W każdym razie — koniec z „szatami powłóczystymi”, sięgającymi do połowy łydki albo nawet niżej.

TANIO i ŁADNIE

Od strony praktycznej ten „nowy zakręt” mody nie jest niebezpieczny: zawsze łatwiej skrócić suknię niż podłużyć.

W dzisiejszym odcinku naszego działu dalsze modele na okres przejściowy przed sezonem jesienno-zimowym.

U góry: kamizelka (bardzo są modne!); może być dziana i może być uszyta z ciepłego materiału.

U dołu: suknia wełniana z dużym kołnierzem, kieszeniami i rękawami trzyćwierciowymi. Wykończenie: duże guzy przy kieszeniach i czarny, lakierowany pasek.

Obok: kurtka-żakiet z flauszu albo grubego sukna. Ramiona reglanowe, rękaw szeroki, dół swobodny.



Ostatnie dni wczasów

ZBIGNIEW LENGREN



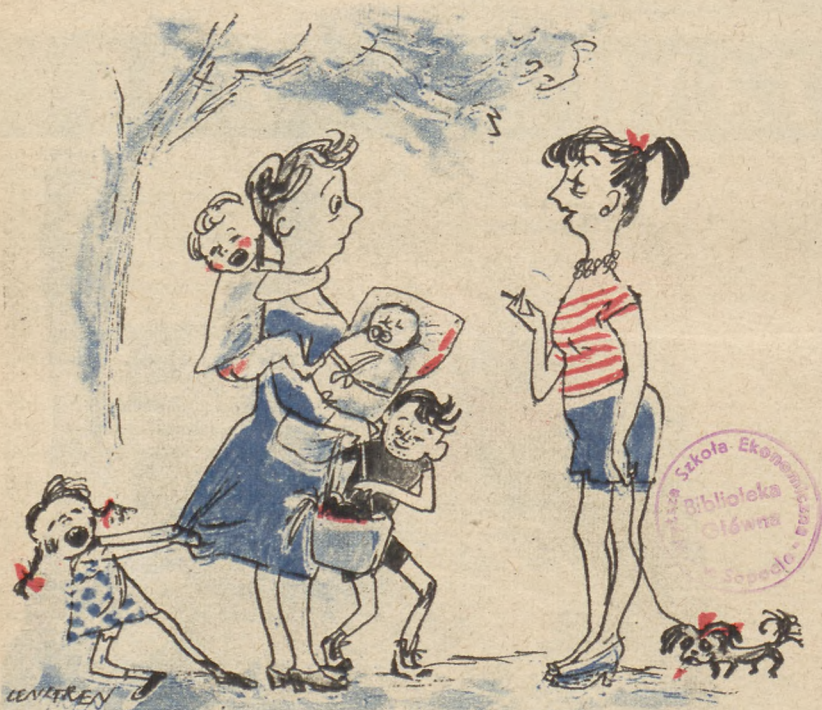
— Bardzo was kolego przepraszam, musimy wrócić, wybrałem złe podejście.



— A pan co? Pozostaje?!...
— Ja mam tylko trzy dni urlopu.



— Wie pan, to pierwszy jaśniejszy dzień na wczasach.



— Co pani robi, żeby się na tych wczasach nie nudzić?...



— To ma być morze?... Wyobrażałem je sobie znacznie większe.



— Rzeczywiście, że w tych górach jest doskonale powietrze.



— Helciu, wsiadłaś do wagonu dla młodzieży szkolnej!
— Nie szkodzi, nikt nie pozna, mam chusteczkę harcerską.